Nr. 4. Poznań, Niedziela 27go Stycznia 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen., pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

POLITYKA.

Nasza polityka.

Niejednokrotnie poruszano myśl utworzenia wspólnego programu politycznego dla Polaków wszystkich zaborów — myśl ta jednak w wykonaniu napotykała zawsze na niezwalczone przeszkody. Rodacy nasi różnych dzielnic łączą się niekiedy, przy wyjątkowych okazyach, w uczuciach, od czasu do czasu powtarzające się zjazdy dają im sposobność do wyrażenia bratniej miłości i wywołują złudzenie, że graniczne kordony nie stają się przeszkodą do jedności duchowej. Gdy jednak nie o uczuciach lecz o przekonaniach mowa, gdy od uścisków i toastów przejdziemy do dysput i argumentów — wówczas każda dzielnica staje na odrębnem stanowisku, każda ma na względzie jedynie swe wyłączne, lokalne interesy i cele. Jest to naturalnym wynikiem różnicy warunków politycznych w trzech zaborach. Każdy z nas innego słucha pana i innym panom podlega, każdy też we wspólnym interesie zachowania narodowego bytu — innych środków chwytać się musi, by cel swój osiągnąć. Ponieważ jednak w zasadniczych rysach położenie wszystkich Polaków jest podobne, więc i w programie naszym politycznym mogłaby się zaznaczyć pewna równoległość głównego kierunku obok niejakich tylko modyfikacyi wywołanych przez różnice w lokalnych stosunkach. Słowem, moglibyśmy się trzymać wspólnych podstaw, a jedynie taktykę odrębną, odpowiednią do okoliczności zachować.

Wśród nieustannej walki społecznych żywiołów, klas, stronnictw, idei i umysłowych dążeń, zaznaczają się przedewszystkiem dwa wielkie prądy, których wszystkie inne kierunki tylko cząstki i jakoby drobne rozgałęzienie stanowią. Jeden z nich jest prądem postępowym, drugi wstecznym. Pierwszy pcha ludzkość naprzód, na nowe drogi — drugi cofa ją w tył i usiłuje w dawnych granicach zatrzymać. Jeden dla drugiego stanowi przeciwwagę, oba mają racyę bytu, a z walki ich wynika ciągły rozwój ludzkości. Siłę żywą, działającą stanowią w nim dążenia postępowe — a kierunek wsteczny pewien rodzaj hamulca, który jego bieg reguluje.

Jeżeli rozpatrujemy krótkie okresy historyi, jeśli wyłącznie teraźniejszość lub niedaleką przeszłość weźmiemy pod uwagę, zwycięstwo jednego lub drugiego z tych kierunków wydawać nam się może rzeczą zmienną, chwiejną i wątpliwą. Gdy jednak wzniesiemy się na wyższy punkt widzenia i ogarniemy wzrokiem wieki całe, musimy dojść do przekonania, że prąd wsteczny na ciągłe i nieuchronne skazany jest porażki, prąd postępowy na stałe zapewnione zwycięstwo. Fakt ten wynika z samej natury rzeczy. Ludzkość dąży wciąż naprzód; można jej bieg powstrzymać na chwilę lub opóźniać — lecz, jak rzeki do źródła, tak i jej do pierwotnego punktu wyjścia cofnąć niepodobna. Praca wieków wytwarza coraz wyższą oświatę, coraz pełniejszą cywilizacyę, coraz rozleglejszą i większe masy ogarniającą swobodę. Kto więc dla prawdy, oświaty i dobrobytu walczy, ten z góry wierzyć może i powinien w tryumf swego sztandaru bez względu na to, czy padnie w jego obronie, czy jego własne, czy też następców jego ręce na zdobytym szańcu go zatkną. Kto zaś naturalny rozwój ludzkości tłumić usiłuje, wiedzie bój beznadziejny, stoi na straconym posterunku i co najwyżej tylko upadek swój opóźnić może.

Jestto przyrodzone prawo historyczne widoczne dla każdego, kto w dziejach nie kronikę królewskich rodzin i wypadków wojennych, lecz życie ludzkości wyczytać umie.

Również z natury rzeczy wynika, że pod sztandarem zachowawczym grupują się zawsze te klasy, stronnictwa i instytucye, które w danej chwili specyalnemi przywilejami, na tradycyi opartemi, się cieszą, które swe przeważne stanowisko w społeczeństwie utrzymują kosztem ograniczenia swobody i rozwoju klas innych — przywilejów pozbawionych. Postęp cywilizacyi, rozwój liberalnych i humanitarnych zasad, budzi w nich zupełnie słuszną obawę, że wraz z rozszerzaniem się granic wolności, a stopniowem obalaniem przywilejów runie podstawa, na której swą władzę i znaczenie opierały, stracą racyę bytu i zmuszone będą do abdykacyi na rzecz ogólnego dobra i społecznego postępu. Ich interesa wiążą się ściśle z tradycyą, od przyszłości niczego spodziewać się nie mogą, teraźniejszość ich zadawalnia, więc lękają się zmian które ich koniec przyspieszają. Odwrotnie zaś, do postępowych żywiołów zaliczają się przeważnie wszyscy wydziedziczeni, ciemiężeni, wyzyskiwani, pozbawieni praw i przywilejów, skrępowani w swym naturalnym rozwoju. Wszystkie nadzieje opierają oni na przyszłości: postęp i rozwój idei humanitarnych jest jedynym ich sprzymierzeńcem i obrońcą — dla postępu też i wolności żyć i pracować muszą.

Zdawałoby się, że wybór między temi dwoma kierunkami dla nas Polaków trudnym być nie powinien. Mimo różnicy położenia pojedyńczych grup naszego narodu, każdy wie o tem dobrze, iż uprzywilejowanego stanowiska nie zajmujemy nigdzie, nie dzierzymy władzy, nie stanowimy praw, nie rozporządzamy siłą militarną, nie używamy rozległych swobód, opartych na niewoli innych ludzi — nie mamy środków uciemiężania i wyzyskiwania nikogo. Jesteśmy raczej sami przeważnie uciemiężeni, wyzyskiwani i skrępowani w prawach naszych. Jesteśmy dalej jeszcze narodem pozbawionym sił i środków do wydobycia się na wierzch, — narodem biedaków i niewolników, a nie narodem bogaczy i panów. Przeszłość jest dla nas straconą, żadne tradycyjne przywileje nie gwarantują nam naszego bytu — a jeśli się rozejrzymy po szczeblach społecznej drabiny, przekonamy się, że najliczniejsze zastępy naszych braci grupują się u jej najniższych stopni, deptane przez tych, którzy się pną w górę. Czyż w obec tego może leżeć w naszym interesie walka w imię tradycyjnych praw, więzów, przywilejów i instytucyi, z których żadna naszych potrzeb, naszego bytu i rozwoju nie uwzględnia? Czy mamy jakiekolwiekbądź szanse wywalczenia wśród obecnych warunków władzy i znaczenia dla siebie? Czy jest rzeczą możliwą, abyśmy zepchnęli z dominujących stanowisk tych, co je dzisiaj zajmują, a wszystkie ich przywileje wyzyskali dla siebie i starym instytucyom nadali własną firmę? Co do tego punktu nikt się chyba u nas nie łudzi.

Może jednak są pomiędzy nami tacy, którzy sądzą, że najrozumniejszą polityką korzyć się przed tymi, którzy stoją na wyżynie, bo oni wszystko mając w ręku najwięcej dać nam mogą. Pogląd ten jednak dobrodusznie naiwny świadczy o wielkiej nieznajomości spraw i natur ludzkich. Żadna władza nie robi ustępstw, jeśli nie czuje się do nich zmuszoną. Jestto prawo niezłomne i jedynie zmienną jest forma, w której się ono przejawia. Jeśli ludzie, dzierżący władzę patrzą w przyszłość i umieją konieczność prze-

widzieć, natenczas wchodzą na drogę reform; jeśli w zaślepieniu swem i krótkowidztwie bronią się represyą — doprowadzają do rewolucyi, która im ustępstwa narzuca. — My na swoją rękę nie możemy ani wymusić specyalnych dla siebie w naszem położeniu ulg i reform, ani też z pomyślnym skutkiem wywołać rewolucyi. Jesteśmy na to za słabi, a ze słabymi żadna władza się nie liczy. Jedyną więc dla nas drogą jest szczere i ochotne współpracownictwo na polu postępu ogólnego.

Wszelkie dążenia, mające na celu wywalczenie wolności dla szerszych mas — sprzyjają naszym interesom, gdyż otwierają i nam możność korzystania ze swobód ogólnych: wszelkie humanitarne prądy, biorące w obronę uciśnionych, pracują dla naszego dobra. Przeciwnie zaś wszelkie prawa, przepisy, instytucye — ograniczające swobodę osobistą jednostki i jej ludzkie przyrodzone prawa — szkodzą nam jako narodowej całości — gdyż od chwili upadku naszego politycznego bytu, jako naród żadnych praw nie posiadamy, możemy je tylko reklamować jako ludzie.

U nas pod pruskim zaborem w okresie ostatnich lat dwudziestu widzieliśmy zjawiska, które same przez się wiele nauczyć nas mogą. Dla czego było nam najgorzej pod Bismarckowskim systemem? Czy dla tego, że nas książę Bismarck osobiście nie lubił? Nie wierzę, aby czysto prywatne, subjektywne uczucia miały rządzić losami ludów. Żelazny kanclerz nie tyle nienawidził nas, ile nienawidził wolności. Był reprezentantem najskrajniejszej reakcyi, najbezwzględniejszej represyi, najwsteczniejszych dążeń. Wobec drobnej zmiany systemu doznaliśmy pewnej: choć słabej ulgi — i zawsze tylko o tyle ulgi spodziewać się będziemy mogli, o ile rząd nam panujący liberalnemi, humanitarnemi zasadami rządzić się zechce, lub rządzić się będzie zmuszonym.

Tej ważnej, zasadniczej, jasnej, jak na dłoni prawdy, my Polacy dotychczas nie zrozumieliśmy jeszcze. — Wiecznie dajemy się używać za narzędzia przemocy, wiecznie udzielamy poparcia prądom wstecznym, przemocy antycywilizacyjnej i sami kręcimy bicz na siebie.

W Austryi nasi galicyjscy posłowie, reprezentanci narodu, którego bieda jest przysłowiową, walczą przeciw powszechnemu głosowaniu, któreby pozbawione głosu liczne zastępy ich współbraci do udziału w życiu publicznem powołały.

My w Prusach najskwapliwiej uchwaliliśmy podatki na marynarkę i wojsko, zupełnie, jakgdyby armia morska i lądowa pod naszą pozostawały komendą.

Może w obecnej chwili, gdy rząd cesarski porzuciwszy drogę reform, zainaugurowaną przez młodego monarchę, przechodzi na drogę represyi — otworzą nam się nareszcie oczy i przekonamy się, że naszymi naturalnymi sprzymierzeńcami w każdym narodzie są te stronnictwa, które o wolność i postęp walczą, gdyż pracując dla ogólnego dobra i nasze także popierają interesa.

Warto tu może przytoczyć dla głębszego, a częstego rozpamiętywania pełne znaczenia słowa z mowy posła ks. Wolszlegera: „My Polacy, którzy tak często na własnem ciele doznawaliśmy srogości ustawodawstwa, musimy przy każdej sposobności powiedzieć sobie, że jest rzeczą nader niebezpieczną odgrywać rolę młota, ponieważ moglibyśmy kiedyś znaleźć się w położeniu kowadła“.

I. M.

Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego.

Znany korespondent poznański do „Czasu“ krakowskiego, wyśpiewujący bezustannie apologje krańcowej polityki p. Kościelskiego a ziejący nienawiścią i fałszem w obec wszelkich prawdziwie umiarkowanych żywiołów, mianowicie zaś w obec tak ostrożnych, rozumnych i zasłużonych polityków jak ks. dr. Wolszlegier, ks. prałat Jażdżewski i p. Czarliński, otrzymał od „*Gazety Toruńskiej*“ nader energiczną nauczkę w Nr. 17. Pismo to, które mimo „brzęczących propozycyi“ z pod sztandarów superlojalizmu wycofało się zupełnie, prostuje fałsze poznańskiego korespondenta i w takich słowach kończy swój artykuł:

„Jest to już smutny zwyczaj, że niektórzy panowie, nie mogąc umieszczać pisanych żółcią artykułów na miejscu, eksportują je do Galicyi. Robotę podobną napiętnowaliśmy już raz z wszelką stanowczością a dziś zwracamy się do redakcyi krakowskiego „Czasu“ z uprzejmą prośbą, aby nie udzielała gościnności płodom nienawiści.“

„*Gazeta Gdańska*“ (Nr. 10) krytykuje ostro wyrażone przez „Dziennik Pozn.“, „Gońca“, „Orędownika“ i „Przegląd Pozn.“ żądanie, aby Koło polskie w sejmie i parlamencie zerwało z dotychczasową zasadą osłaniania *bezwzględną* tajemnicą swych obrad i publikowało referaty z posiedzeń swoich. Artykuł ten kończy się w następujących retorycznych wykrzyknikach:

„Inna atoli rzecz, czy węzły łączące lud nasz z jego wybrańcami zadzierżgnęłyby się silniej skutkiem publikowania uchwał „Kół“ naszych — a jeżeli tak, to czyż spotęgowana akcya na wewnątrz, korzyść niewątpliwa, zrównoważałyby szkody, jakie poniosłaby sprawa narodowa w skutek obniżenia wartości akcyi na zewnątrz? Czyż publikowanie uchwał reprezentacyi naszej, wskazanej przy obecnem ugrupowaniu stronnictw niemieckich na ciągłe lawirowanie, nie krępowałoby jej ruchów? Czy godziłoby się w ten sposób podsycać naszą nieszczęsną politykomanią? Czyż zbyt „jawna“ polityka nasza nie sprowadziła dosyć klęsk na ojczyznę naszą? Czy wreszcie stoi coś na przeszkodzie, aby jak dotąd, tak i nadal, gdy interes sprawy tego wymagać będzie, publikowała reprezentacya nasza to, co uzna za stosowne?

Szczupłe ramy pisma naszego nie pozwalają nam rozwinąć myśli naszych, aleć mądrej głowie — dość na słowie.“

Są to frazesy, które ani jednego z poważnych argumentów naszych, przytoczonych za względną jawnością uchwał i obrad w obu Kołach poselskich nie osłabiły. Do sprawy tej powrócimy niebawem.

Do „*Gazety Opolskiej*“ (Nr. 7) donoszą o ciekawem zajściu na posiedzeniu polskiego „Towarzystwa Przemysłowego“ w Katowicach. Korespondencya brzmi:

„Po dłuższym czasie odwiedził nasze posiedzenie znów sam komisarz policyjny z jednym policyantem. Przeczuwaliśmy wszyscy, że się na coś zanosi, a wiadomo, że kiedy się psa chce uderzyć, to się i kij znajdzie. Program posiedzenia był wyczerpany, gdy nagle jeden z członków zapytuje się jeszcze przed zamknięciem posiedzenia, czy wolno śpiewać. Na to urzędnik w poczuciu swej absolutnej władzy raczył odbąknąć, że to zapytanie ma wnieść piśmiennie, to odpowiedź dostanie, prawdopodobnie za tydzień! Na tem posiedzenie zamknięto i zabrano się do śpiewów. Lecz jakie było nasze zdziwienie, gdy komisarz nagle pikelhaubę włożył, śpiewów zakazał, a nawet do opuszczenia lokalu nas zawezwał. Coby było się stało, gdybyśmy byli podczas posiedzenia zaśpiewali, nie wiem. Prawdopodobnie byłby komisarz posiedzenie rozwiązał. Do „Katowicerki“ zaś dostało się sprawozdanie prawdopodobnie oficyalnie, po 1) że posiedzenie zostało policyjnie zamknięte, chociaż to nie prawda, bo prezes takowe zamknął; po 2) że Towarzystwo zaintonowało jakąś patryotyczną pieśń „mit ihrem Liedermeister an der Spitze.“ (W rzeczywistości do śpiewu jeszcze nie przyszło, a co członkowie chcieli śpiewać, tegośmy sami jeszcze nie wiedzieli, z wyjątkiem pewnie tylko samego p. komisarza; po 3) „unwillig und gemessenen Schrittes verliesen die edlen Polensöhne den Sitzungssaal!!!“

Z tej małej próby każdy nieuprzedzony przekonać

HELENA CEYSINGER.

BŁĘDNY OGNIK.

Przyszła mi raz ochota odwiedzić dawną przyjaciółkę, towarzyszkę lat dziecinnych, wspólniczkę najpierwszych marzeń i snów szalonych. Dusza to była moja, siostrzana, a los ją odniósł daleko, jak prąd falę rzeczną od źródła odnosi. W dziwnej mieszkała okolicy. W miarę jak zbliżałam się do jej ustroni, coraz wyższe piętrzyły się tam góry, coraz gęściejsze rosły na nich lasy, coraz bardziej gwar świata przycichał.

Domek jej stał na górze, ścianą jedną przyparty do skały, jak gniazdo dzikiego ptaka. Z okien jego widać było wielką, zieloną dolinę, za nią ciągnęły się góry i lasy, lasy i góry, nad niemi wisiał szmat błękitu, a czasem z hukiem przelatywały wichry i burze. Dziwnie rozlegle, widno i powietrznie było dokoła. Dusza do śmielszych zrywała się lotów, myśl nizinami życia wzgardziwszy, biegła ku szczytom.

— Wyciągam ramiona ku górom twoim, na wszystkich wierzchołkach chciałabym być jednocześnie, pić pełną piersią aromat tych lasów, tych wichrów czuć potęgę! — mówiłam do towarzyszki lat dziecinnych. Ale ona uśmiechała się trochę smutno i nie chciała dzielić uniesień moich.

— Milszą mi woń wspomnień dzieciństwa, którą przynosisz ze sobą — potężniejsze były naszych serc porywy. O nie odchódź, nie odchódź odemnie! Pamiętasz...

I roztaczała przedemną zapomniane już w części obrazy i sceny, potrącała o zamilkłe od dość dawna struny, a przeszłość, jakby na zaklęcie jej wstawała żywa, świeża jak wiosna, pełna wiary, pełna kwiatów i snów i nadziei. I dobrze nam było razem. Zapomniałam przy niej o tych widnokręgach szerokich, co z taką siłą ciągnęły mnie ku sobie. Wieczór nadszedł. Przez otwarte okno woń kwiatów górskich płynęła do mego pokoju, cienie zaległy góry, z za chmur od czasu do czasu błyskały promienie księżyca.

Stałyśmy przy oknie, wciągając w piersi oddech tej nocy ciepłej, cichej, wonnej i żadna z nas nie miała ochoty przerywać milczenia.

— Co to za zwaliska? — rzekłam wreszcie — dziwna rzecz, w dzień nie zauważyłam ich wcale; teraz dopiero, gdy padło na nie światło księżyca, zabielały pośród czerni lasów.

— Ruiny. Niegdyś zameczek warowny stał tu podobno.

— Ach! cudnież tu u was! Krajobraz cały wygląda jak tło do legendy. Powiedz mi jaką...

Zwróciłam na nią oczy, ale zdawało się, że nie słyszy ostatnich słów moich, bo wzrok utkwiła w jeden punkt doliny i wpatrywała się w niego uparcie, z wyrazem niepokoju i wzruszenia na twarzy. Tam po łące śród bagien i trzęsawisk przechadzało się nikłe, mdlejące światełko. To stawało w miejscu, podnosząc się ku górze wązką, świetlistą smugą, to jakby rozpaczą obłąkane, jakby szalejące z bolu, jakby szukające czegoś, czy kogoś, latało po cichej dolinie, zataczało dziwaczne kręgi, wracało i uciekało znowu. Potem tajemniczy płomyk, jakby zniechęcony długą wędrówką po dolinie, podleciał ku górze i usiadł na jednem skrzydle starego zniszczonego zameczku, i cichy, a świetlisty przechadzał się zwolna po zrujnowanych basztach, po poszarpanych gzemsach, po strzelnicach, patrzących pustemi oczami. Zmieniał wciąż barwy. Z fijoletu przechodził w purpurę, z purpuru w zieleń, albo w smutne światło opalowe, i blaskiem własnym stroił miłośnie stare zwaliska. Na chwilkę zdawały się ożywiać, przybierały dawne kształty wspaniałe, ale gdy on odleciał zapadały w poprzednią martwotę i nędzę starości. Więc smutny zleciał płomyk w dolinę i znowu przelatywał z miejsca na miejsce i przygasał i rozpalał się znowu, tułacz błędny.

Spojrzałam na moją towarzyszkę. — Kto on? — Posłuchaj — rzekła. — Niegdyś na tem miejscu wielkie ognie gorzały, płonęły dusze ludzkie żarem pragnień, żarem ofiary i bohaterskich poświęceń. Po tem polu przechadzał się płomień walki, i palił, i dusze ludzkie do śmiertelnej białości rozgrzewał. Na tem polu ścierało się życie ludzkie ze śmiercią. A potem

się może, jak dokładnie i ścisłe te „berychty“ z naszych posiedzeń być muszą!

Wynikiem całej tej szykany będzie to. że założymy osobne towarzystwo śpiewu i to już w najkrótszym czasie. Musimy także nasze statuta zmienić i umieścić, że i śpiewem na towarzystwach zajmować się będziemy, gdyż komisarz twierdzi, że musimy policyi donieść, jeżeli na posiedzeniu śpiewać chcemy! Będzie też trzeba wyrzucić statut, że występujemy przeciwko dążnościom socyalistycznym, za co sąd uznał nasze Towarzystwo za polityczne. Sprawa ta zostanie na przyszłem nadzwyczajnem posiedzeniu załatwiona.“

Jako interesującą próbkę naszej polemiki dziennikarskiej przytaczamy poniżej następujący wyjątek z „*Dziennika Kujawskiego*“ (Nr. 15):

„Amerykanin Edward Belamy napisał opowiadanie pod tytułem: „Świat w roku 2000“, gdzie jest przedstawiony komunizm, do którego dążą socyaliści, w jak najpiękniejszem świetle. Powieść tę wydano w Warszawie, a obecnie drukuje ją „Orędownik“, aby zachęcić lud polski do socyalnej demokracyi. Dziwna to rzecz, gdy się czyta w „Oręd.“ na 3 str. najwyższe pochwały dla teoryi socyalistycznych, na 1 zaś stronie opisuje, jak socyaliści hulają, a pijany socyalista prawi, że największym złodziejem w całej Francyi jest prezydent Perier. „Orędownik“ wcale od siebie nie daje żadnej nagany za to wyrażenie. Może p. Szymański doda od siebie, jak się urządzą socyaliści pod względem religijnym, bo dotąd nie ma o tem w opowiadaniu Belamy'ego ani słówka.“

„*Gazeta Opolska*“ zamieszcza w Nr. 6 następujący przyczynek do historyi szlązkich stosunków:

„Denuncyacya. We Wtorek przybył do redaktora naszego pisma p. Koraszewskiego komisarz policyjny p. Hube i pokazał mu list anonimowy, to jest bezimienny, w którym były zamieszczone oszczerstwa na Towarzystwo polsko-katolickie w Opolu i zagrożenie policyi zemstą, gdyby dała „pozwolenie“ na odegranie teatru. Oszczerstwa były tego rodzaju, że pewien kapłan, który w tym dniu był w odwiedzinach u redaktora, powiedział, iż to nie może być, żeby katolicka osoba mogła coś podobnego uczynić. W istocie nie dziwilibyśmy się, gdyby ze znanej spółki germanizatorów poznańskich lub katowickich K. H. T. podobna denuncyacya wyszła, lecz niestety są poszlaki, iż jakaś parszywa owca wkradła się do Towarzystwa polsko-katol. i podłą denuncyacyę wysłała. Denuncyacya nie pochodzi więc z niemieckiej strony, ale z „polskiej“ i katolickiej. Policya rozpoczęła śledztwo, gdyż to jest także wskutek groźby zamieszczonej w denuncyacyi w jej własnym interesie. Denuncyacya pochodzi, jak się domyślać należy, od jakiejś białogłowy.“

„Teatr odbędzie się w tę niedzielę; początek już o godzinie wpół do 6 wieczorem. Z dalszych stron zapowiedzieli się liczni goście, także ze stanu duchownego. Tem bardziej, że ludowi przez nikczemną denuncyacyę chciano zabawę zepsuć, niech się tenże lud jak najliczniej stawi z bliska i z daleka; niech za obrazę, swojej godności i godności Towarzystwa polsko-katolickiego odpowie jak najliczniejszym udziałem, aby dać dowód, że lud polski stoi silnie przy Towarzystwie polsko-katolickiem.“

„*Gazeta polska*“, wychodząca w Berlinie, tak pisze w artykule p. t. „Działalność naszych towarzystw“:

„Wszystkie nasze towarzystwa narodowe w obczyźnie mają za główny cel utrzymanie moralności swoich członków i kształcenie ich w duchu ojczystym. Niestety — wiele z towarzystw za mało na ten cel pamięta; między temi jest dużo i z tych, które — to przy świętościach religijnych posiedzenia swe odbywają.

Są takie towarzystwa, których członkowie najbardziej z wszystkiego uprawiają karciarstwo lub taniec, albo jedno i drugie. Przed posiedzeniem grają w karty, po posiedzeniu także, nieraz bardzo późno w noc lub i do rana. Na posiedzeniach obradują, znowu niemal ustawicznie, o zabawach z tańcami.

Karciarstwo, zbytek tańców, to plaga mocno grasująca w naszych towarzystwach, która zabija w nich życie duchowe — a więc siły moralne wogóle.“

Kampania antipolskiej spółki K. H. T. rozwija się z coraz większą zajadłością. „*Gazeta Grudziądzka*“ i „*Gazeta Gdańska*“ codziennie niemal kruszą kopie z oszczerstwami niemiekich czasopism, stojących na żołdzie tej spółki. W ostatnim czasie nawet „Niemki“ stanęły do walki z Polskością a mianowicie jakaś „Marie Tyrol“ drukująca powieściowy pamflet w grudziązkim „Geselligerze“. „*Gazeta Gdańska*“ z powodu tego kończy takim okrzykiem swój artykuł p. t. „*Pospolite ruszenie*“:

„...No! teraz ciągną na nas „mit Mann und Weib und Maus...“

Niemcy na Polaków, Niemki na Polki, Niemczątka na Polaczątka! Coraz lepiej!“

„*Nowiny Raciborskie*“ piszą w Nr. 9:

„Jakiś tam niemiecki komitet z Berlina nadesłał nam list drukowany, w którym uprasza redakcyę, aby zamieściła w „Nowinach“ odezwę wzywającą do kupowania osobnego rodzaju kart z powinszowaniem, które mają być przesłane — Bismarkowi na dzień jego 80tych urodzin! Odezwa ta nosi napis: „National-Gluckwunsch fur den Fürsten Bismarck.“

Jak nazwać podobne postępowanie? Żądać od gazety polskiej i katolickiej, aby zamieszczała podobne odezwy, to trochą za wiele. Chyba ci panowie w Berlinie nie wiedzą wcale, czem są „Nowiny Raciborskie“, bo pewnie nie byliby się dopiero wybierali z listem do nas i zaoszczędziliby znaczek pocztowy za 3 fenygi.“

Z polecenia ks. arcybiskupa Stablewskiego wychodzić zaczął w Poznaniu pod redakcya ks. Koteckiego „*Przewodnik katolicki.*“ Ks. arcybiskup określa w ad hoc ogłoszonym okólniku cele „Przewodnika“ w sposób następujący:

„Serce Moje od dawna pragnęło w dyecezyach pieczy Mojej Arcypasterskiej powierzonych pisma, któreby w przystępny dla wszystkich sposób utwierdzało prawdy Boże, zapoznawało z objawami życia Kościoła św., oraz ze sposobami jego obrony w tych czasach wielkich niepokojów i niebezpieczeństw dla wiary, równocześnie zaś niosło i rozrywkę i przyjemność po pracy.“

„*Pielgrzym*“, wychodzący w Pelplinie, zamieszcza w Nr. 6 następującą wiadomość:

„Nie miała baba kłopotu, kupiła sobie prosię“, może sobie teraz powiedzieć protestantyzm niemiecki, który tak gorliwie protegował wszelkie ustawy antipolskie a mianowicie dzieło kolonizacyi niemieckiej Sprowadzano więc do dzielnic polskich niemieckich osadników i ile możności samych protestantów w nadziei, że ci będą szermierzami protestantyzmu w dzielnicach polskich i katolickich. Nie udali się jednak kolonizacyi owi szermierze protestantyzmu, przeciwnie narobili kościołowi protestanckiemu wiele kłopotu, jak o tem piszą do „Volks-Zeitung“:

„Komisya kolonizacyjna pobudowała, jak to wiadomo, pewną liczbę protestanckich kościołów dla niemieckich kolonistów także za pieniądze polskich i katolickich obywateli płacących podatki. W okolicach Inowrocławia stoi kilka takich nowo pobudowanych kościołów całkiem próżno, żaden z protestanckich kolonistów nie chce do nich uczęszczać, chociaż odpowiedni urzędnicy już to łagodnemi słowy, już też groźbą do tego pobudzają. Wydało się bowiem, że wielka liczba kolonistów należy do sekty baptystów, lub metodystów t. zw. „ewangelicznego społeczeństwa.“ Członkowie tego ewangelicznego społeczeństwa, którzy także „ludźmi Albrechta“ się zowią, odprawiają swoje modlitwy i nabożeństwa inspiracyjne bardzo regularnie; główną siedzibą tych sekciarzy jest Joachimowo. Szczególnie ostro występują przeciw protestanckim pastorom. „Nową naukę“ przynieśli ze sobą z Wyrtembergii. Komisya kolonizacyjna ma z nimi wiele kłopotu, gdyż ta „Ewangeliczna społeczność wielką robi propagandę i znajduje między protestantami wielu adeptów. Sprowadzono więc niemieckich protestanckich kolonistów, aby szerzyć germanizacyę — teraz doczekaliśmy się, że koloniści sami ostro się oświadczają przeciw protestanckiemu kościołowi; w jednej miejscowości chcieli nawet nawrócić pastora na swoją wiarę.“ —*ski.*

Przegląd prasy słowiańskiej.

Młodoczeskie „*Narodni Listy*“ uznały ugodę słowiańskich posłów ślązkich za obowiązującą całą prasę czeską i zmieniwszy dotychczasowe, nieprzychylne Polakom śląskim stanowisko, piszą:

„Nasza kwestya polsko-czeska jest polityczną kwestyą domową, którą u siebie trzeba nam załatwić. Kwestya ta powstała, odkąd na Szląsku austryackim większość słowiańska przebudziła się do życia politycznego, występując do walki z niemczyzną. Polacy ocknęli się pierwsi, Czesi dopiero w drugiej połowie ery Taafego. Przebudzenie to zadokumentowali po raz pierwszy wyborem trzech posłów czeskich na Śląsku do sejmu krajowego. Już to samo świadczy, że sukces czesko-polski posiada wspólne cele, że Czesi i Polacy na Śląsku do jednego należą obozu, w którym się bronić muszą przeciw niemczyźnie. Ale jest innych jeszcze wiele

---

wszystko ucichło, przygasło, wypaliły się dusze i z wielkich krwawych płomieni ten jeden blady, błędny ogień pozostał.

Spojrzałyśmy sobie w oczy.

— Czy myślisz, że wielkim płomieniem nie rozpali się nigdy?

Smutnie opuściła głowę.

— Powiadają, że świeci, ale nie grzeje.

— Nie wierz temu — zawołałam — Jeżeli on resztką tych ogni, co gorzały tu niegdyś, to rozpali się znowu i słupem ognistym, ofiarnym wybuchnie ku niebu!

— A jeśli zgaśnie pierwej? Jeśli łuczywa na stos ofiarny nie stanie?

— O serce małej wiary! Ten ognik błędny ma w sobie życie nieśmiertelne. Nie zgaśnie on i łuczywa na stos ofiarny ci nie zabraknie! Przyszlą ci lasy swoich dębów konary, przyszlą ci góry kosodrzewiny gałązki, snopy pól, przyjdą i na stos ofiarny się położą!

Długo, długo w noc mówiłyśmy jeszcze o ogniach co płonęły niegdyś i o tych, które dopiero rozpalić się mają, a gdy sen ogarnął mnie w końcu, to śniłam, że z błędnego ognika płomień rozgorzał olbrzymi i w pomrokę nocną słał promienie światła i ciepła.

CIEN.

— Dobrze, że panienka przyszła. W sam czas. Zuzia taka niezręczna — a tu czas nagli — powóz każdej chwili zajedzie — ja jeszcze w negliżu.

Nerwowem drganiem rączki drobnej, białej, dotykała pani Z., mówiąc to, puszkiem policzki swe i nakładała lekkie warstwy woniejącego pudru. Zadowolona z siebie patrzała w lustro, na którego konsoli skład cały parfumeryi spoczywał, odłożyła puszek, szczoteczką jedwabną pogładziła łuk czarnych, gęstych brwi, i powstała nagle, zrzucając z siebie koronkowy negliżyk, który ześliznął się po różowych ramionach jak piana morska po kształtach boskiej Afrodyty.

Panienka tymczasem zdjęła wyszarzały swój kabacik, przetarła skostniałe od mrozu ręce, wyjęła z obrusa lekkie tiule balowe i czekała pokornie na dalsze rozkazy. Upojona na wpół ciepłem woniejącego buduaru, trzymała się ręką poręczy fotelu, by nie upaść. Chciwie rozdęła chrapki kształtnego nosa, wchłaniając w siebie pachnące atomy; zapadłe oczy jej ogniem poczęły się łyskać — a ciepło twarz bladą okryło różową powłoką.

Pierwszy raz w życiu swem była w tak pysznym buduarze. Z zazdrosnem podziwieniem patrzała na ten przepych i wygodę, który dla kobiety wielkiego świata drugim nieomal jest światem.

Jakżeż to inaczej w jej skromnej izdebce. Małe lusterko ślepe i natłuczone, pół flaszeczki odświętnego piżma i stare szczypce do palenia włosów — ot! całe jej buduarowe sprzęty. Jakżeż maluczką czuła się ona — biedna szwaczka — wobec tej wielkiej pani. Tak maluczką, że ani zaznała na razie upokorzenia, kiedy, klęknąwszy u nóg pięknej pani, upinać poczęła draperye balowej sukni. Drżącą ręką dotykała się cienkiej przędzy, nie czując nawet, kiedy śpilką własne, pokłute raniła palce.

Powstała. — Pierwszy rzut oka jej padł w lustro, w którym sobowtór pani Z. stał w całej majestatu swego okazałości. — Przestraszyła się w pierwszej chwili samej siebie. Taką nie widziała się nigdy jeszcze w lustrze, zapomniała czem jest — a w sercu jej zagrała „kobieta“ w całym akordzie kokieteryi i zazdrości na inne. W jednej chwili zmierzyła rywalkę

danych, które wskazują wspólność interesu. Czesi i Polacy śląscy są tym duchowym łącznikiem, łączącym oba wielkie narody słowiańskie, pomostem, który pomiędzy obu narodami istnieć powinien.

Niemcy chcieli zniszczyć Czechów i Polaków, czego dowody dali niejednokrotnie. Nie mogąc tego uczynić za jednym zamachem, chwycili się swej starej podstępnej wobec nas Słowian polityki, szczując jednych na drugich, która to taktyka tyle im pożytku zawsze przynosiła. W tem pomagają im najskuteczniej różnice wyznaniowe, a superintendent protestancki dr. Haase dokazał w rzeczywistości tego, że w kilku miejscowościach przyszło pomiędzy Polakami a Czechami do zatargu.

„Drugą przyczyną nieporozumienia pomiędzy nami a Polakami były nadzieje patryotów polskich, że obecna koalicya przyniesie im na Szląsku korzyść na rzecz ich narodowości. Nadzieje te atoli zawiodły, gdy lewica niemiecka kategorycznie oświadczyła, że Szląsk uważa za kraj zdobyty dla Niemców, którego żadną miarą się nie zrzecze. Gdy Polacy się przekonali, że niczego się po Niemcach spodziewać nie mogą, przestali z niemi szukać sojuszu i wrócili do swych dawnych sojuszników Czechów, aby wspólnie wywalczyć prawa im się należące.

„Zresztą byłoby to błędem gdybyśmy utarczkom drobnym na Szląsku taką wagę przypisywali, jak naszej odwiecznej walce z Niemcami. Narzecza śląskie, tak polskie jak czeskie, są sobie nadzwyczaj bliskie i już to samo będzie najlepszą spójnią obu narodów. Na Szląsku lud wyraźnie widzi ów rozdział słowiańsko-niemiecki i czuje potrzebę solidarności słowiańskiej.

„Bynajmniej Polakom za złe nie bierzemy tego, że tam, gdzie w okolicach przemysłowych liczebnie wzrośli, starają się przy swej narodowości utrzymać. Nie wierzymy też, aby na dobry stosunek miała oddziaływać niekorzystnie różnica poglądów socyalno-politycznych, istniejąca pomiędzy Czechami demokratycznemi a arystokratyczną Galicyą. Owszem wspólna nasza sprawa na Szląsku będzie punktem stycznym i zawiązkiem dobrych na przyszłość stosunków.

Nie chcemy twierdzić obłudnie, jakobyśmy nigdy nie mieli stawać do walki z konserwatystami galicyjskimi, ale widzimy i uznajemy pewien w tem pożytek, że arystokracya polska, usposobiona patryotycznie, oddziaływać będzie dodatnio na naszą arystokracyą czeską, indyferentną na funkcye narodowości. Ruch zaś demokratyczny w Czechach będzie pomocą i wzorem demokracyi polskiej, wyrabiającej sobie zwolna znaczenie i stanowisko. Tym to sposobem oba narody oddziaływać na siebie będą dodatnio i rychlej do przekonania przyjdą, iż solidarność nas Czechów z Polakami jako Słowian zachodnich jest koniecznym postulatem dobrej polityki.

* * *

„*Il Pensiero Slavo*“ polemizując z organem Jezuitów, rzymską „Civittà Cattolica“, która wrogie zajęła stanowisko wobec kwestyi zaprowadzenia liturgii słowiańskiej tak pisze:

„W jednym z ostatnich numerów „Civitâ Cattolica“ w rubryce „Cronaca Contemporanea“ potępia pismo to żądania ludności słowiańskiej, aby u nas zaprowadzono liturgię słowiańską. Chcąc sobie wytworzyć słuszny pogląd na kwestyą tę, nie trzeba jej rozpatrywać z *włosko-katolickiego* stanowiska separatycznego, ale ze stanowiska interesów Kościoła. Nie wszyscy, którzy się domagają liturgii słowiańskiej, są pionierami schizmy, jak nie wszyscy, opierający się liturgii słowiańskiej są wiernymi synami Kościoła. *Qui bene distinguit, bene docet?* Słynny liturgista Tallhofer jest obrońcą liturgii słowiańskiej, przyznając jej znaczenie niepoślednie, a kongregacya de Prop. Fide już dawniej w osobnym okólniku do biskupów naszych radziła wprowadzenie tejże liturgii.

Narody południowo-słowiańskie uważają to za swój przywilej, iż w ich języku wolno mszą św. odprawiać, — ukracanie tego prawa przez księży czeskich uważano za rzecz niegodziwą. Agitacya przeciw liturgii słowiańskiej, prowadzona przez biskupów i księży włoskich, najwięcej się przyczyniła do zaostrzenia stosunków pomiędzy Słowianami prawosławnymi a katolikami, na czem Kościołowi naszemu zależeć nie może. Jest też faktem, że na każdem zbliżeniu się prawosławnych z katolikami zbiera zyski Kościół katolicki. Wie o tem dobrze Ojciec św, który tej kwestyi niezmiernie doniosłej nie chce rozstrzygać ze stanowiska wyłącznie włoskiego, ale ze stanowiska Kościoła katolickiego.

* * *

Wychodzący w Lublanie młodosłowiński „Slovenski Narod“ pisze:

„...Dla nas narodowość nie jest pustym wyrazem, ale jest siłą, która daje ludzkości impuls do wszechstronnego zdrowego postępu. Naszym domowym przeciwnikom, którzy nam zarzucają, że broniąc ideałów narodowych, nie wiemy czego bronimy i do czego dążymy, że narodowość i walka o nią jest bezcelową, że tylko interes religijny mieć powinniśmy na oku, odpowiadamy, że właśnie bardzo dobrze wiemy, dokąd zmierzamy i czego chcemy. Nasz cel jest jasnym, jeżeli jest narodowym, wszyscy wiemy dokąd dążymy i czego chcemy: rozwoju umysłowego i ekonomicznego naszego narodu i całej słowiańszczyzny.

„Ta okoliczność, że naszym wrogiem jest Niemiec katolik, jednej z nami wiary, nie powinna nas zaślepiać, owszem, tem czujniej stać winniśmy na straży. Jeżeli duchowieństwo nasze uważa siebie za powołanych do godzenia sporów narodowości, jeżeli nie chce stawać na czele naszego ruchu narodowego, aby tym samem nie stać się wrogiem swych parafian niemieckich, ich duszpasterstwu pozostawionych, to niechże nam pozostawi obowiązek bronienia interesów narodowych i w naszej agitacyi nie upatruje zdrożności i tendencyi siania wśród ludności katolickiej niezgody...“

K.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Z życia ekonomicznego.

(*Notatki*).

II.

Co do kwestyi unormowania dnia roboczego mamy do zaznaczenia fakty następujące: W radzie narodowej szwajcarskiej wniesiono projekt skrócenia dnia roboczego z godzin 11 na 10. Głosów zasadniczo przeciwnych nie było, jednakże wniosek odrzucono motywując tem, że przy nadmiernie długim dniu roboczym w krajach ościennych i wobec fatalnego położenia jednej z głównych gałęzi przemysłu krajowego — wyrobu tkanin jedwabnych, Szwajcarya nie byłaby w stanie wytrzymać konkurencyi. Wobec tego postanowiono polecić radzie związkowej podjąć na nowo inicyatywę międzynarodowego uregulowania tej kwestyi. (Jak wiadomo usiłowania rządu szwajcarskiego w tym celu spełzły

---

w lustrze i równać ją poczęła z sobą. — Mniejsza wzrostem i szczuplejsza, zdawała się dorównywać majestatowi Junony, choć ramiona jej nie zdradzały kształtów takich, jak u pani Z., — za to oczy jej dziwnym błyszczały ogniem, niezakrapiane nigdy atropiną — tym częściej za to... łzami. Usta nabiegły róż karminem pierś, poruszana stu rządz skrytych burzą, coraz pełniejszy owal przybierała — a włosów hebany zdawały się poruszać i jeżyć jak węże na głowie pięknej Gorgony. Tylko ręce jej z pokłutemi palcami czerwonością swą chudą dziwnie odbijały, jak krwi kropla na śniegu, na białem ciele pani Z., i, kiedy kładła jej na szyję piękny, brylantowy naszyjnik, czuła w tej chwili nieprzepartą w sobie chęć i siłę, zaciągnąć go splotem stryczka, udławić tę kobietę, zedrzeć z niej tiule balowe, sama się w nie przybrać i przeglądać się — w lustrze.

Ocknęła się dopiero, kiedy pani Z., zawiesiwszy na ramiona futerko, wysunęła z pod niego rękę i wcisnęła jej coś „na śpilki“.

* * *

Jakim sposobem dostała się na ulicę, czy śniło jej się tylko na jawie wszystko to, co widziała, z tego biedaczka w pierwszej chwili zdać sobie nie mogła sprawy.

Wiatr mroźny ciął w bladą twarz jej. Nie czuła. — Biegła jak upiór bez myśli i woli przed siebie, pozostawiając w śniegu ciche ślady, małych, wykrzywionych trzewików. — Oddech gorący zastygał jej na woalce cienkiemi lodu kryształami — serce młotem biło — a w pierś dyszącą wpijały się stalki starego gorsetu, trzeszcząc jak druty klatki pod pazurami lwicy.

Biegła, nie bacząc na nawoływania woźniców środkiem gwarnej ulicy i kto wie dokąd byłaby zabiegła, gdyby jej nagle nie powstrzymał rój ciekawej gawiedzi i sznur powozów.

Przystanęła.

Dwie banie elektryczne rzucały rzęsiste światło na ulicę i schody wielkiego gmachu, przed który tłumnie zajeżdżały powozy. Spięła się na palce i machinalnie utorowała sobie drogę przez tłumy, aż stanęła w pierwszym rzędzie ciekawych.

Oślepiona jasnością elektryczną, nie widziała nic przed sobą —. czuła tylko w powietrzu tę samą odurzającą woń buduarową, którą przed chwilą oddychała, nie słyszała słów ciekawych sąsiadek, objaśniających się wzajemnie, że to bal na cele „dobroczynne“; ocknęła się dopiero, kiedy powóz zajechał, a z niego pan jakiś wysiadł, podając z uśmiechem galanteryi rękę swą — poznała! — pani Z. — I znów jej serce coś ścisło i znów poczuła tę siłę nieświadomą, jaka kusiła ją, nakładającą naszyjnik pani Z. Stała jak przykuta.

Stała — a za nią rysował się cień jakiś mglisty, rosnący w kształty olbrzyma męzkiego. Przez mgłę szarawą dwoje ócz lubieżnych jak głownie tlejące spoczęło na jej ciele, a usta bezkrwiste, zaciśnięte wykrzywiały się śmiechem pożądliwym. I rąk dwoje wysunęło się z szarej mgławicy — z tych jedna workiem potrząsała złota, a druga oplatała kibić jej dziewiczą.

Tłum się rozproszył — ona szła ostatnia — a za nią krok w krok szło straszne widziadło.

* * *

W rok potem cień mglisty przybrał ludzkie ciało — sny się spełniły — miała buduar i jeździła karetą.

Alastor.

na niczem, wobec oporu Niemiec, gdzie zwołano kongres międzynarodowy, który zajął się jedynie kwestyą pracy kobiet i dzieci i nie wydał żadnych poważnych rezultatów).

Ciekawy przyczynek do kwestyi normalnego dnia roboczego podaje prof. Philippowitz w piśmie wiedeńskiem „Handelsmuzeum" z d. 8 listopada. Jest to mianowicie sprawozdanie dyrektora jednej ze znaczniejszych hut żelaznych w Czechach, własności hr. Erweina v. Nosticz w Rathau. Do roku 1892 pracowano tam dzień i noc dwiema zmianami po godzin 12. Wskutek zaprowadzenia nowych maszyn praca stała się tak intensywną, że robotnicy nie mogli wytrwać przy niej tak długo, pracowano źle, psuto dużo. Od owego czasu zaprowadzono trzy „szychty" po 8 godzin. Trzeba było wprawdzie zaprowadzić niektóre ulepszenia i poczynić zmiany w organizacyi pracy, lecz rezultaty były świetne. Produkowano więcej prawie o 50 proc. i produkt jest lepszy. Płaca od sztuki pozostała ta sama, bo robotnicy zarabiają tyleż co dawniej, w niektórych nawet grupach cokolwiek więcej, gdy tymczasem koszta płacy roboczej dla fabryki na tę samą ilość wyrobów zmniejszyły się. Zdrowotność robotników polepszyła się głównie z tego powodu, że mają teraz 16 godzin z rzędu do swego rozporządzenia i na każdą grupę praca nocna przypada co trzy tygodnie, gdy dawniej co dwa.

Nie jest to pierwszy przykład zbawiennych skutków skrócenia pracy dla obu stron, i nie należy tych przykładów generalizować, gdyż w innych gałęziach pracy, lub w innych warunkach fabrykanci mogą ponieść niewątpliwie pewne straty.

Za przykładem angielskiego ministeryum wojny i marynarki, które zaprowadziły w warsztatach swoich 8 godzinny dzień roboczy, poszło teraz ministeryum norwegskie, skracając pracę do 53 godzin na tydzień w warsztatach rządowych. Dawniej praca trwała 54 i pół do 60 godzin. Z ulgi tej korzysta 1075 ludzi.

Z ostrych zatargów pomiędzy kapitałem i pracą zaznaczamy sztrejk górników szkockich, którzy opierali się obniżeniu płacy o 1 szyling. Sztrejk ten kosztował robotników angielskich 80,000 i skończył się ich porażką. Przed miesiącem podjęto pracę na nowo, lecz już grozi nowe bezrobocie: robotnicy oświadczyli, że nie są w stanie wyżyć ze swojej płacy i żądają podwyżki o 6 pensów.

Na ostatnim kongresie ekonomistów w Wiedniu jednym z najpoważniejszych działem rozpraw była kwestya syndykatów, kartelów, trustów i t. p. związków przedsiębiorców. Prawie wszyscy uczestnicy, z wyjątkiem profesorów Brentano z Monachium i Wolff z Zurichu (ostatni, jak powiada „Frankfurter Zeitung" w sprawozdaniu „pochwala wszystko co robi bóg-kapitał") zaznaczali niebezpieczeństwo, które grozi ze strony tych związków konsumentom przez z monopolizowanie produkcyi. Jednakże siłą konieczności związki takie w tej czy innej formie pozostawać muszą i nie sądzimy, żeby prawodawstwo mogło temu zapobiedz. Rzecz jest jasna: konkurencya, zachwalana przez szkołę manczesterską jako dźwignia całego życia ekonomicznego, zrujnowała naprzód częściowo drobnych przedsiębiorców i staje się teraz groźną nawet dla większych. Samozachowanie zmusza ich do okiełznania anarchii na rynku, przy której wzajem się rujnują, muszą więc uciekać się do porozumiewania pomiędzy sobą. Pierwsze próby tego rodzaju powstały w Ameryce przed 15 zaledwie laty, dziś posiadamy już kilka olbrzymich stowarzyszeń, które opanowały całe gałęzie przemysłu, że wspomnę tu tylko o sławnej „normizowce" fabrykantów cukru w Rosyi, która polega na tem, że fabrykanci zobowięzują się produkować tylko pewną ściśle ograniczoną ilość cukru, o związku producentów chemikalii w Niemczech, towarzystw kopalniowych w Ameryce, Niemczech, Francyi. Istnieje nawet syndykat, który z małem wyjątkiem opanował całą produkcyę nafty w Ameryce i na Kaukazie, a który powstał wskutek porozumienia dwóch olbrzymich firm „Bracia Nobel" i „Amerykańskie stowarzyszenie naftowe". Rozwój w tym kierunku musi posuwać się dalej.

Z doby bieżącej zaznaczamy fakt: Na posiedzeniu listopadowem „Reńsko-westfalskiego syndykatu węglowego" w Essen postanowiono połączyć się z „Towarzystwem akcyjnem syndykatu produkcyi koksu". Połączenie polega na tem, że producenci węgla zobowięzują się nie sprzedawać węgla zupełnie producentom koksu, stojącym po za syndykatem, ten zaś z góry zakupuje określone ilości węgla w ten sposób, że ilość, jaką ma dostarczyć każda z kopalń, zostaje ściśle określoną. Ilość wyprodukowanego koksu wynosiła w roku 1885 — 2.800,000 ton, w 1891 — 3,900,000, w 1894 obliczają 4,750,000. Wartość 50 milionów marek. Produkcya węgla syndykatu kopalnianego wynosiła w trzecim kwartale bieżącego roku 8,991,457 ton. Mamy więc do czynienia z fuzyą dwu wielkich syndykatów, połączonych w jeden olbrzymi. Każdy producent, który ośmieliłby się w danym rewirze stawić opór takim potęgom ekonomicznym zostanie zmiażdżony, konkurencya więc dla pewnych granic — o ile mianowicie nie wchodzi w rachubę możność dowiezienia produktu zkąd inąd, w danym razie jest prawie wykluczona, gdyż ani koks ani węgiel nie pokrywają kosztów dalekiego przewozu — jest usuniętą.

Sprawa upaństwowienia kolei zajmowała w ostatnich dniach dwa parlamenty. W Austryi postanowiono 7 b. m. zakupić dwie linie, czesko-zachodnią i morawsko-szląską. O ile przy pierwszych operacyach tego rodzaju stawiano silny opór ze strony liberalnych żywiołów, o tyle tym razem przyjęto wniosek prawie bez debaty. Czas więc, kiedy wszystkie drogi austryackie będą w rękach rządu jest już bardzo bliski.

W szwajcarskim parlamencie powodem do podniesienia kwestyi upaństwowienia był skandal, który miał miejsce na drodze północno-wschodniej, jednej z głównych arteryi, gdyż łączy drogę gothardską z jeziorem Bodeńskim i w ten sposób łączy Włochy z Niemcami. Powodem skandalu był zatarg pomiędzy akcyonaryuszami, z których jedni żądali dróg podjazdowych, drudzy opierali się temu, gdyż chodziło im o utrzymanie dywidendy na dawnej stopie, podczas gdy pierwsi mieli zapewne interes bezpośredni w budowie. Drogi, o które chodziło, były dla kraju bardzo ważnemi, pomimo to za pomocą tak zwanych „słomianych ludzi" pierwsza partya przegłosowała drugą, wykluczyła ludzi nieprzychylnych sobie ze zarządu i kraj dróg nie otrzyma. W parlamencie tedy zażądano środków prawnych dla ukrócenia samowoli akcyonaryuszów, które też uchwalono. Główne paragrafy wydanego w tym celu prawa dążą do uniemożliwienia owych podsuwanych figurantów, usunięcia ze zarządu cudzoziemców, którzy przeważnie reprezentują spekulantów giełdowych, i do zapewnienia rządom, związkowemu i kontrolnemu, pewnego wpływu na postanowienia rady zarządzającej. Jednocześnie jednakże polecono radzie związkowej wypracowanie projektu upaństwowienia dróg, które dotąd są wyłącznie w posiadaniu towarzystw akcyjnych. Obecnie w prasie szwajcarskiej toczą się żywe debaty jak uskutecznić projekt, czy drogą wykupu, amortyzacyi, czy ekspropryacyi. Pierwszy sposób trwałby zbyt długo, gdyż koncesye są wydane na długi szereg lat, ostatni zbyt kosztowny, gdyby chciano płacić wartość akcyi podług kursu bieżącego, pozostaje więc trzeci, który też prawdopodobnie będzie użyty.

Parlament francuzki, pomimo, że zdawało się, iż dawny systemat protekcyjny zaczyna tracić zwolenników, uchwalił jednakże nowe cła prawie prohibicyjne na rodzynki, podwyższając dawną stopę 15 do 25 franków na 25 do 40. Polityka ta nie wydaje jak dotąd pożądanych rezultatów o czem wymownie świadczy bilans handlowy: Import w pierwszych dziewięciu miesiącach roku 1893 wynosił 2,804,550,000

„ 1894 „ 3,137,600,000

\+ 334,050,000

Export 1893 wynosił 2,435,396,000

„ 1894 „ 2,319,384,000

— 116,012,000

Cyfry te dają wiele do myślenia, ale wobec szalonych zapędów grup oddzielnych, które za jaką bądź cenę bronią interesów swojej kieszeni, zwrot ku bardziej racyonalnej polityce celnej jest marzeniem na teraz.

Ciekawą tablicę stosunku samodzielnych przedsiębiorców do najmitów we Francyi podaje jedno z pism ekonomicznych. W roku 1893 było

	właścicieli	najmitów
Rolnictwo	54,5 proc.	46,5 proc.
Przemysł	22,5 „	77,6 „
Przewóz	14,0 „	86,0 „
Handel	50,6 „	49,4 „

Cyfry te, jeżeli są dokładne, świadczą dobitnie o tem, że Francya pozostaje Eldorado dla dobrego przedsiębiorstwa. W rolnictwie przewyższa własność już nie drobna ale miniaturowa, jeżeli większość gospodarstw obchodzi się bez najmity.

J. B. M.

LITERATURA I SZTUKA.

POETA NIRWANY.

Poetą „dusz zmęczonych" w Rosyi jest hrabia Kutuzow. Rosyanie nazywają go poetą śmierci i Nirwany. Rzecz znamienna na schyłku XIX stulecia, że poeta Nirwany jest ulubieńcem publiczności: dwa tomiki jego poezyi wyszły obecnie w trzeciem wydaniu.

Hr. Kutuzow nie należy bynajmniej do „najmłodszych." Produkcya jego poetycka przypada na lata siedmdziesiąte i pierwszych parę ośmdziesiątych. Z współczesnym dekadentyzmem, — który jako najnowsza moda francuzka wtargnął także do literatury rosyjskiej, — poezya jego nic nie ma wspólnego.

Kutuzowa ojcem po duchu jest Puszkin, którego „Eugeniusz Onegin" bezwątpienia wpłynął na kierunek twórczości poety Nirwany. Wpływ ten Puszkinowski najwyraźniejszym jest w pierwszym większych rozmiarów poemacie epiczno-lirycznym p. t. „Staryja rieczi." Zarówno charakter głównego bohatera, jako też rozwiązanie zawartego w poemacie tym problematu etycznego z lekka przypominają „Onegina." Podobieństwo to nie polega oczywiście na ślepem naśladownictwie, lecz świadczy o powinowactwie dusz obu poetów. Łączy ich nadto owa niezrównanie harmonijna muzyka słów, rytmów i rymów, która wsławiła Puszkina, a najsłabszym nawet utworom Kutuzowa nadaje znaczenie i wartość dzieł sztuki. Każdą duszę na piękno wrażliwą doskonałość formy rosyjskiego poety wszechpotężnym swym czarem przykuwa do siebie. Pod jej wpływem zapominamy o częstych niedomaganiach treści.

Różnica pomiędzy charakterem twórczości obu poetów jest równie wyraźna, jak ich powinowactwo, a równie wielka, jak różnica pomiędzy epokami, których są przedstawicielami. Leży ona w odmiennym ich *nastroju duchowym*: u Puszkina ton śmiały, nastrój duszy pogodny, wiara w szczęście, siła, usposobienie wojownicze, — u hr. Kutuzowa ton stłumiony, nieśmiały, przygnębienie, świadczące o zawodach życiowych, beznadziejność i pragnienie wiecznego spokoju... bezradosnego i bezbolesnego... Puszkin — to poeta życia i zmartwychwstania:

hr. Kutuzow — poeta śmierci i Nirwany, skąd nie ma powrotu do życia.

Gruby pesymizm, spotęgowany do apoteozy śmierci, — ten sam pesymizm, którego apostołem we filozofii po Schopenhauerze jest Hartmann, — oto myśl filozoficzna, którą hr. Kutuzow przyodziewa w barwną szatę swej poezyi. W życiu nie ma szczęścia. Jest ono złudzeniem tylko, po którem zawsze bolesne następuje rozczarowanie. Ale w człowieku głęboko tkwi pragnienie szczęścia, — i w tem leży tragedya jego życia. Jedynym życia sensem, jest... śmierć: ona też jest jedynym pragnienia godnym celem. Myśl ta w twórczości poety rozwija się zwolna. Zrazu niewyraźna, objawia się w upodobaniu do odtwarzania ponurych, ciemnych stron życia, przechodzi po tem w zwątpienie o *możliwości* szczęścia, w dalszym rozwoju ukazuje się jako *negacya potrzeby* szczęścia, aż wreszcie w *apoteozie śmierci* znajduje ostateczną swą formę. Powolny ten rozwój pesymizmu poety rosyjskiego wyraźnie ujawnia się w jego utworach. Hr. Kutuzow jest przedewszystkiem poetą, nie filozofem. U niego pesymizm nie jest rozumowaniem, doktryną, lecz uczuciem, nie tendencyą, lecz mimowolną spowiedzią zbolałej duszy.

Poeci, jak wiadomo, nie grzeszą konsekwencyą: oddają się każdemu potężnemu wrażeniu bez namysłu i odtwarzają je w swych utworach. Hr. Kutuzow należy także do poetów „niekonsekwentnych.“ Od czasu do czasu, — jakkolwiek nie często, — otrząsa się ze swego ponurego pesymizmu, i wtenczas ku niemałemu naszemu zdziwieniu starzec, życiem zmęczony, zamienia się w młodzieńca, który rwie się do życia, który wierzy w szczęście i miłość i zachwycać się umie pięknością przyrody. W tych rzadkich chwilach „otrzeźwienia“ i powrotu do życia powstało dużo mniejszych, bardzo pięknych i oryginalnych utworów lirycznych, które w współczesnej literaturze rosyjskiej śmiało postawić można obok utworów Tiutczewa i Feta, uchodzących w krainie „czystej liryki“ za mistrzów niezrównanych.

Miłość i przyroda, dwa odwiecznie stare, a wiecznie nowe tematy liryczne, są także źródłem natchnienia rosyjskiego poety. Nie odważając się na przekład, przytaczamy w oryginale choć jeden tylko ustęp z wierszyka lirycznego.

„Proszumiéli wiesonnyja 1) wody,
Zagremiéli wiesiołyja grozy, 2)
W odiejaniach woşkresszej 3) prirody
Rozcwieli 4) giacynty i rozy.
Proniesliś 5) ot dalókich pomorij 6)
Perelotnyja piewczyja pticy: 7)
W niebiesach swietłookija zori 8)
Wo wsiu nocz ne smykajut zienicy. 9)
No i w blednoj tiszi ich sijanij 10)
Wniatien żizni tainstwennyj lepiet 11)
Wniatny zwuki niezrimych łobzanij 12)
I lubwi torżestwujuszczij trepiet.“ 13)

Takich miłych drobiazgów, — pochodzących przeważnie z młodych lat poety, — w dwutomowym zbiorku poezyi znajduje się więcej („Nie smołkaj, gowori“, „Sniłoś mnie utro (poranek) łazurnoje, czistoje“ i inne). Ich świeżość przyjemnie odbija od ponurego tła innych utworów poety. Z drobniejszych utworów Kutuzowa zasługują jeszcze na wyszczególnienie: „Skuka“, poemat opisujący na wpół seryo, na wpół żartobliwie krainę wszechwładnej urody, którą autor upatruje we wszystkich stosunkach życia rosyjskiego, „Stariki“, rzecz osnuta na tle wojny tureckiej, i „Gaszisz“, opowieść, której bohater, dziki syn stepów turkestańskich, chcąc uwolnić się od wszelkich trosk „obrzydliwego życia“ upaja się haszyszem i w halucynacyach, spowodowanych otruciem znajduje upragnione szczęście.

„Proszczaj... no jesliby udary
Sudźby żestókoj na tiebia
Obruszíliś, i żizu twoja
Nieżdannym goriem omracziłaś,
Pripomni, czto so mnoj słucziłoś...
Ałła mogucz — gaszisza dym
Dla sczastja niszczich sozdan im.“

Wyraźnie słychać tu już rozpaczliwą nutę podzwaniającą także w poezyi innego poety śmierci: Karola Baudelaire'a. „Enivrez-vous!...“ woła życia syty poeta francuzki, „Upajajcie się! upajajcie się winem, upajajcie się cnotą, upajajcie się grzechem, byle tylko o życiu nie myśleć...“ Tę samą myśl wypowiada poeta rosyjski. I on na troski życia innego nie znajduje lekarstwa, prócz upojenia...

Pierwszy, większych rozmiarów utwór Kutuzowa nosi tytuł „Staryja rieczi“ („stare dzieje“). W nim wyraźnie już przebija ponury nastrój poety.

Osamotniony, zrozpaczony po gorzkich doświadczeniach życiowych, — starzec przedwczesny na duchu i ciele, — bohater poematu po długich podróżach powraca w ojczyste swe strony, do dworu, w którym od dziada, pradziada mieszkali jego przodkowie. Wszystko mu tu obce. Nikt nie wychodzi na jego spotkanie, nikt go nie poznaje. Tylko stare, mizerne psisko wita go radosnem szczekaniem. Na każdym kroku spotyka się z pamiątkami, przypominającemi mu dawne czasy. Ale czuje się wśród tych pamiątek jakoby na cmentarzysku wśród mogił i krzyżów, których zatarte napisy na myśl mu przywodzą miłych sercu nieboższyków. Z pomiędzy wszystkich wszakże wspomnień jedno jeszcze go dziś dręczy: wspomnienie nieszczęśliwej miłości. Z pamiętnika, który bohater odnajduje we dworze, dowiadujemy się historyi tej miłości. Historya, to prosta.

Bohater przed wielu laty kochał się w żonie sąsiada. Ona wyszła za mąż z namowy i woli rodziców, którego prawie wcale nie znała. Po niewczasie przekonuje się, że małżonek jej jest istotą ograniczoną bez wszelkich potrzeb duchowych, człowiekiem brutalnym o popędach zwierzęcych. Odznaczają go mianowicie dwie namiętności: pociąg do kieliszka i do kart. Rzecz jasna, że go kochać nie może. Trochę z nudów, — jak się sama później przyznaje, — a trochę wskutek prawdziwej sympatyi zawięzuje lekki stosunek miłosny z sąsiadem, który często odwiedza jej męża. Ostatecznie dochodzi do tego, że bohaterowi poematu naznacza tajemną schadzkę w ogrodzie „pod lipą nad ruczajem“, gdzie czekać na niego obiecuje. Nieszczęśliwy wypadek nie pozwala jej jednakże stawić się na czas. Miły bowiem małżonek tego samego właśnie wieczora w wesołej kompanii hulackiej upił się jak nie-człowiek, przegrał w karty cały swój majątek i dostał ataku paraliżu. Musiała więc pozostać przy nim. Tymczasem kochanek „pod lipą nad ruczajem“ czeka wytrwale i długo, bo aż do północy. Po północy wreszcie ukazuje się „ona“, świeżymi wypadkami, jak łatwo się domyślić, rozstrojona w najwyższym stopniu. „On“ tymczasem, czy to znużony długiem czekaniem, czy też uszczęśliwiony nad miarę, czy też tak bardzo zakłopotany, nie znajduje ani jednego słowa na jej powitanie. — Dodać musimy w tem miejscu, że bohater poematu przez cały czas swych zalotów miłosnych do żony sąsiada wielką okazuje nieudolność: milczy, kiedy mówić trzeba, a mówi, kiedy najlepiej byłoby milczeć. — Urażona zapewne jego milczeniem, bohaterka popada w ironię nad samą sobą i w pełnych goryczy i żalu słowach robi sobie wymówki, że pozwoliła się uwieść. Tymczasem on wciąż milczy, jak zaklęty i zupełnie nie przeszkadza jej w monologu „Ona“ ostatecznie popada w gwałtowność, graniczącą z histeryą, i kończy słowami, że „wszystko skończone“ między nimi. Bohater, który dla zachowania pewnej godności powinien teraz odejść w milczeniu, naraz mówić zaczyna i rozprawiać na temat: „Czyż nie ma już nadziei?“ itd. Oczywiście, że nie ma nadziei; poznaje to po chłodnem jej, prawie szyderczem spojrzeniu, które raz jeszcze powtarza mu: „wszystko skończone.“

„Staryje rieczi“ chybione są pod wielu względami. Tatjana w Puszkina „Onieginie“ w podobnem znajduje się położeniu, co bohaterka „starych dziejów.“ Ale los Tatjany i Oniegina jest tragicznym i na czytelniku wywiera wrażenie głębokiej tragiki. Bo Tatjana całą duszą kocha Oniegina, — a jednak miłość swą składa na ołtarzu obowiązku względem męża, który nie zasługuje, ani na miłość, ani na jej litość. W duszy bohaterki „starych dziejów“ żaden tragiczny konflikt uczuć rozegrać się nie mógł: z jednej strony nie kocha właściwie nieszczęsnego kochanka, z drugiej zaś strony okoliczności tak jej ułatwiły decyzyę szlachetną, że właściwie inaczej postąpić wcale nie mogła. Bo tylko potwór, nie kobieta, zdołałby się oddać kochankowi, w chwili kiedy mąż tknięty paraliżem walczy ze śmiercią. Nadto w czytelniku na niekorzyść bohaterki budzi się podejrzenie, że dopiero na miejscu schadzki wobec wyjątkowej nieudolności kochanka zbudziło się w niej postanowienie, pozostania wierną obowiązkom żony. Dla czegoż bowiem wyszła do sadu?...

Charakter bohaterki zupełnie nie nadaje się do wywołania wrażenia tragicznego. Bohater poematu bezwątpienia jest nieszczęśliwym, bo nieszczęśliwym się czuje po doznanym zawodzie, lecz i tutaj autor, wrażenie litości znacznie osłabił przez niedostateczną charakterystykę bohatera. Właściwie bowiem dowiadujemy się o jego charakterze tyle tylko, że był „człowiekiem dobrodusznym“, — nic więcej. Zachowanie się zaś jego podczas całej afery miłosnej sprawia raczej wrażenie komizmu. Mazgajstwo bowiem w sprawach miłosnych nawet u najlitościwszych osób śmiech wywołuje.

Nastrój poematu, jak już wspomnieliśmy jest ponury: — beznadziejność od początku do końca. Bohater już z samego początku nie wierzy w możliwość szczęścia, a odepchnięty przez ukochaną istotę popada w rozpacz.

„K czemu miecztanija, nadieżdy łżiwyj bred?
„Błażen, czije sczastje sudzboju pozabyto.“

„Po cóż więc marzenia, nadziei kłamliwe złudzenie? Szczęśliwy ten, o czyjem szczęściu zapomniały losy“, — smutny wynik rozmyślań bohatera i autora.

Bez porównania lepszym, — może ze wszystkich najlepszym, w każdym razie najciekawszym i najbardziej oryginalnym, — jest drugi większych rozmiarów utwór Kutuzowa p. t. „Died prost'ił“ („Dziad przebaczył“). Pod względem nastroju przedstawia on dalsze pogłębienie pesymistycznego poglądu na życie. Treść jego, owiana grozą tajemniczości, jest następująca:

Stary książę, porzucony przez niewierną swą żonę, uciekł od świata i ludzi i zagrzebał się na wsi. Żona pozostawiła mu córkę, która jest jego jedyną pociechą, — jego szczęściem i życiem i jedyną miłością. I zjawił się u drzwi jego „obcy człowiek, wesoły, śmiały i młody“, którego córka pokochała, i z którym połączyć się pragnie. Ojciec pod żadnym warunkiem na to zgodzić się nie chce. Narzeczony w nocy wykrada córkę, o czem dowiedziawszy się ojciec puszcza się za nim w pogoń pomimo straszliwej zawiei śnieżnej. W drodze koń pada, lecz starzec z gniewu i rozpaczy tracący panowanie nad samym sobą, zrzuca z siebie futro i dalej pieszo pędzi za narzeczonymi. Na drugi dzień przechodnie znajdują go w śniegu skostniałego, umierającego. Tymczasem narzeczeni wzięli ślub. Córka pisze list do księcia, prosi o przebaczenie i razem z mężem chce zamieszkać u ojca; — wszystko niestety za późno! Gdy powraca do domu, ojca zastaje martwego.

Między żoną i mężem odtąd zawsze sto[i] duch nieboszczyka, groźny, nieubłagany. Z niemą nienawiścią nad trupem ojca młoda żona spogląda na swego męża, — i nienawiść ta nigdy zupełnie nie znika z jej serca. Uciekają do stolicy i w wirze wielkiego świata chcą zapomnieć o „nim“, o nieboszczyku, co z grobu

---

1) wiosenne, 2) zagrzmiały burze wesołe, 3) w szatach zbudzonej przyrody, 4) rozkwitły, 5) przeleciały, 6) krain, 7) ptaki wędrowne, 8) zorze, 9) nie zamykają źrenicy, 10) lecz i w bladej ciszy ich błysków. 11) Czuć życia szum tajemniczy. 12) Słychać dźwięki niewidzialnych pocałunków 13) i miłości tryumfujące drzenie.

1) Bywaj zdrów!... lecz gdyby ciosy losu okrutnego na ciebie spadały, i gdyby życie twe nagle w nieszczęście się zamieniło; przypomnij sobie, co ze mną się stało... Ałłah potężny — haszyszu dym dla szczęścia biednych przez niego stworzony.

wstaje i wiecznie patrzy im w oczy. Nigdzie nie znajdują spokoju, ani w zabawach stolicy, ani w podróżach...

„I u niesczastnoj niet uż siły
Borotsia 1) s wychodźcem mogiły:
On owładieł jejó 2) duszoj
Jejo umom, 3) jejo miecztoj 4)

. . . .

I tolko w kratkij mig zabwienia 5)
Żena na muża wzglaniet 6) wnow, —
Jej prizrak 7) szepczet: — niet proszczenja!" 8)

Młoda żona powiła syna. Zwolna rodzi i rozwija się w niej myśl mistyczna, że syn powinien odkupić jej winę i pogodzić ją z ojcem. Małżeństwo, — smutne i nieszczęśliwe, — powraca do wioski, w której mieszkał i umarł stary książę. Mija lat parę. Wszystko, co się dzieje dokoła, nieszczęśliwa kobieta przypisuje wpływowi duszy ojca. Każde nieszczęście jest dla niej nowym dowodem, że ojciec nie przebaczył. Z utęsknieniem wygląda jakiego pomyślnego znaku...

...Posucha panuje straszliwa. W cerkwi lud pobożny do Pana wszechmocnego gorące zanosi modły o deszcz ożywczy. Księżnej wydaje się naraz, że jeśli Bóg wysłucha modlitwę ludu. — to będzie to znakiem, że i nad nią duch ojca się zmiłował. Wysyła synka, by się modlił, sama zaś wychodzi do ogrodu. Zaledwie zaczęła się modlić, gdy na skraju nieba ukazuje się czarna chmura, gromami brzemienna.

„Idiot — i niebo tiesno 1) jej —!
Ona żiwiot, rastiot 2) i dyszet,
I krylja 3) moszcznyja 4) kołyszet
I chmurit czornyj wał browiej. 5)
To wzglaniet wdrug 6) i zamorgajet, 7)
Zagoworit.., to wnow smołkajet 8)
W razdumje strastnom 9) — i grozna
Jego żiwaja tiszina..."

Już... już zdaje jej się, że ojciec wysłuchał jej prośby, gdy w tem grom uderzył. Ona widzi tylko smugę świetlaną, — a potem... „uśmiech... spojrzenie... i westchnienie niebiańskiego szczęścia, i... śmierć."

Tak kończy się poemat. Ojciec nie wybaczył córce, nie przyjął ofiary wnuka. W życiu nie ma pojednania; ono tylko w śmierci możliwe. Pożądanie szczęścia w życiu jest grzechem, bo ono zawsze okupuje się nieszczęściem innych ludzi. A tak samo, jak każdy człowiek z osobna, tak i ludzkość cała oswobodzić się powinna z pęt „ostatniego złudzenia", jakoby tu na ziemi dojść mogła do stanu szczęśliwości. Tylko w śmierci, w nie-bycie, w Nirwanie jest szczęście, a więc i cel życia.

Myśl tę, pobieżnie zrazu i mimochodem wypowiedzianą w „Starych rieczach", pogłębioną następnie „Died prostił", jako „dobrą nowinę", jak ewangelię głosi hrabia Kutuzow wszystkim duszom wzniosłym ponad pragnienia ziemskie w ostatnim swym utworze p. t. „Razswiet" („Jutrzenka". Tutaj śmierć nie jest już tylko rozwiązaniem i pojednaniem sprzeczności życiowych, — lecz jedynem prawdziwem szczęściem, jedynym stanem szczęśliwości. Człowiek byłby wtenczas tylko prawdziwie szczęśliwym, gdyby przez całe życie pozostawał w tym stanie, który odczuwa w chwili konania.

„Razswiet" jest apoteozą śmierci i ostatniem poety słowem, — jego wyznaniem wiary. Osnowa, czyli „bajka" poematu jest tutaj tylko ramką, czemś niezmiernie pobocznem i nieważnem. Podajemy ją więc w kilku tylko słowach.

Bohater narzeczonemu odbija narzeczoną. Narzeczony wyzywa go na pojedynek i rani śmiertelnie.

Umierający na łożu śmierci poznaje ostateczny, jedyny i prawdziwy sens bytu, który objawia mu się jako Śmierć. Wita ją „bez strachu i bez smutku." Całe przeszłe życie przedstawia mu się teraz jak szereg snów nocnych, które przeminęły bez śladu. Życie urojeniem było, śmierć jest rzeczywistością, i szczęściem rzeczywistem. Wyciąga ku niemu ramiona, a on w jej „uścisku beznamiętnym" coraz to spokojniejszym się czuje: lżej mu teraz i cały smutek życia przemija bezpowrotnie... W pobliżu słychać szelest zbliżających się kroków... Do łoża zbliża się postać kobieca, — ukochana istota, dla której rywala wyzwał na pojedynek. Czuje dotknięcie ręki, — ręki znajomej, drżącej... słyszy słowa pociechy i miłości. Lecz jemu wszystko teraz obojętne. „Spojrzyj-że na mnie, przemów choć słowo", prosi go kochanka. Ale on tylko Śmierć widzi przed sobą, — ona jedynie pociąga go ku sobie:

„Pridi, izbrannik moj, tiebia ja polubiła,
„Tiebia mnie stało ial sred mira i ludiej..."

Narzeczona, przerażona jego obojętnością, płakać zaczyna. On widzi jej łzy i jej mękę, ale ich nie odczuwa. Obojętnie rękę ku niej wyciąga i pyta: „czego-że tak płaczesz?" Światło pada na jej twarz. I twarz ta, dawniej tak miła, wydała mu się obca i przejęła go grozą, — bo w niej tyle było... życia! Odwrócił się od niej. Ona raz jeszcze spojrzała mu w oczy, gorącemi ustami, ust jego dotknęła, a potem zapytała: „Mam odejść, czy zostać?" „Idź", odpowiada bez namysłu. A kiedy ze łzami w oczach żegna go i mówi „do widzenia", on ze spokojem odpowiada „bywaj zdrowa!" i żegna ją na zawsze, bo nie wierzy w możliwość zobaczenia się po śmierci...

Stan duszy, zbliżony o ile możności do stanu, w którym się konający bohater „Jutrzenki", jest ideałem hr. Kutuzowa jest sam „duszą zmęczoną" i poetą „dusz zmęczonych." To, co wypowiedział w „Razswietie" jest wyznaniem wiary milionów schyłkowców. Ideał hr. Kutuzowa, — polegający na zupełnej nieczułości na cierpienia bliźnich i na tchórzliwości, rezygnujący z góry z uciech życia z obawy przed rozczarowaniem, które po nich nastąpić może, — nie jest nowym. Pojawiał on się, ilekroć ludzkość ogarniała apatya, przesyt, wstręt do życia, słowem, „zmęczenie duszy", a zawsze znamieniem wyrobienia pewnej generacyi. Ideał „absolutnego spokoju" i nieczułości pojawił się, kiedy świat starożytny chylił się upadkowi, — z tym samym ideałem nasze stulecie kładzie się do grobu. Niechże ludzie, którzy do życia nie czują w sobie siły, wzdychają do grobu, do śmierci, do wiecznego spokoju, niechże Nirwana będzie ich ideałem, a bezczynność ich życiem! Kto w sobie czuje siłę do życia, ten inny zna ideał, — wznioślejszy, piękniejszy: pracę i poświęcenie dla bliźnich, dla ojczyzny, dla narodu, dla ludzkości. W pracy tej znajdzie szczęście i ukojenie, którego „umarli za życia" szukać muszą w upojeniu haszyszem...

Hrabia Kutuzow od lat dwunastu nic nie napisał, co pod względem treści zasługiwałoby na uwagę. Rzecz to zastanowienia godna. Cóż bowiem oznacza ta długa bezpłodność? Czy hr. Kutuzow, wypowiedziawszy w „Razswietie" ostatnie swe słowo, milczy dla tego, że nic już nowego nie ma do powiedzenia, a powtarzać nie chce tego, co już powiedział? Ale też być może, że dwunastoletnia jego bezpłodność jest długim letargiem, wśród której zwolna odbywa się odrodzenie duszy i całkowite przeobrażenie pojęć poety śmierci. Być może, że z letargu powstanie poeta inny i uderzy w „strunę drugą", w *życia* stal.

Paweł Styczyński.

1) Walczyć, 2) owładnął jej duszą, 3) rozumem, 4) marzeniem, 5) chwilą zapomnienia, 6) spojrzy, 7) widmo, 8) nie ma przebaczenia.

1) Ciasno, 2) rośnie, 3) skrzydła, 4) potężne, 5) brwi, 6) nagle, 7) mrugnie, 8) milowy, 9) w zadumie złowrogiej.

Dwie powieści angielskie.

Olive Schreiner: Historya jednej farmy afrykańskiej.
Sarah Grand: Kobieta zbyteczna.

Lubię, gdy kobiety piszą o kobietach. Cóż my możemy wiedzieć o nich ze spostrzeżenia, z doświadczenia? Prawie nic. Przy tych olbrzymich różnicach budowy fizycznej i duchowej, jakie zachodzą między kobietą a mężczyzną, czyż warto zadawać sobie zmudną pracę odgadywania rebusów, do których klucza w znaczuym stopniu mogłaby dostarczyć tylko logika obłudy, gdy daleko łatwiej jest dać kobiecie do ręki pióro. Niechaj piszą, niech się spowiadają. Autorstwo jest spowiedzią.

Mamy na widoku kilka powieści, napisanych z talentem i szczerością przez kobiety. Z powieści tych dowiadujemy się rzeczy, o jakich mężczyznom, filozofom i psychologom zawodowym serca kobiecego, nigdy się nie śniło.

Przyznam się, iż te spowiedzi kobiet są daleko bardziej interesujące i wzruszające niż męzkie. Bo gdy w mężczyźnie stado żądz zaczyna się niepokoić i ryczeć, prowadzi on je spokojnie do szlachtuza w sąsiednim zaułku, gdzie rzeźniczka miłości, zabija je jednym ciosem. Dla kobiet ta doraźna egzekucya żądz nie jest dostępna — w nich one się wikłają, pogłębiają i dla tego spowiedzi kobiece tchną nie sceptyzmem, lecz gniewem i szczerością.

Do takich dzieł należy „Historya jednej farmy afrykańskiej", znana w całej Anglii; w ciągu kilku lat rozeszła się ona w kilkunastu wydaniach, ostatnie — w 80,000 egzemplarzach.

Autorka, pani Oliwe Schreiner, głosi tu cały kodeks emancypacyi kobiecej: równość obojga płci wobec prawa i moralności, dostęp do wszystkich karyer i zawodów, zaznajomienie młodych dziewcząt z realnością życia i protest przeciw niewoli małżeństwa, nie opartego na miłości.

Ten ostatni punkt autorka zrozumiała w sposób nader swobodny i niezależny od żadnych przesądów.

Miłość nie jest bynajmniej harmonią, ona jest walką, a raczej skutkiem walki. Serce cudze trzeba podbić, zwyciężyć, aby je posiąść. Tylko z walki może buchnąć ogień namiętności. Z tych zapasów jedna strona wychodzi zwyciężona, a obie związane. Kto kocha swą swobodę, nigdy nie będzie jej wiązał z miłością. Zdaniem autorki, swoboda raczej z małżeństwem już pogodzić się musi, niż z miłością. Ponieważ ona jednak nie chce się wyrzec ani swobody, ani miłości, a małżeństwo uważa za konieczną instytucyę, więc oddziela tę ostatnią od uczucia i rozkłada je na dwu odrębnych biegunach. Logika trochę zawikłana; posłuchajcie tylko:

Lyndall, bohaterka powieści, ma kochanka, nie chce go wszakże za męża, wybiera natomiast sąsiedniego fermera.

— Co to za człowiek? — zapytuje zdziwiony kochanek.

— Głupiec zwykły.

— I pani woli wyjść za niego, niż za mnie?

— Tak, gdyż pan nie jesteś głupcem.

— Jestto zupełnie nowa przyczyna odmowy wyjścia za mąż.

— Jestto powód nader rozumny. Od tamtego będę zupełnie wolną, od pana nie.

I objaśnia mu, iż kobieta rozumna nie powinna się przykuć na zawsze do mężczyzny, który powoływałby w niej ku życiu i działności tylko niższą stronę jej natury. Dąb zagłusza naokoło wszystko, co jest słabsze. „Kochałam, gdyż byłeś silnym. Byłeś pierwszym człowiekiem, którego się bałam." W dłuższem pożyciu ona by go znienawidziła.

W tem oryginalnem oświadczeniu znajduje się, zdaniem naszem, myśl głęboka. Nic tyle, co miłość nie wytwarza stanów hypnotycznych i zatraty osobowości. Rzućcie naokoło siebie okiem. W każdem małżeństwie znajdziecie albo moralną, albo też umysłową ofiarę. Jestto zjawisko tak powszechne, iż go nawet nie spostrzegamy. Tam, gdzie na miejscu krytyki, niezależności zdań, przy rozstrzyganiu wszelkich kwestyi, występują, jako racye najwyższe i stanowcze, całusy i uściski, osobowość się zatraca.

Nadzieja połączenia mężczyzny i kobiety w doskonałej harmonii wydaje się być jedną z chimer nie do osiągnienia. Trzebaby w tym celu gruntownie zmienić całą naturę ludzką. W duecie miłosnym role mężczyzny i kobiety są fizyologicznie i psychicznie różne i dla tego o równości mowy być nie może.

Dla tego też w sprawach miłości przyszłość gotuje nam prawdopobnie zjawiska, o jakich fi-

lozofom się nie śniło. Gdy kobieta nie zechce grać roli gliny, z której artysta ma zrobić piękny wazon, ani instrumentu, na którym on ma odegrać przepyszną symfonię, ona zażąda zupełnego oddzielenia miłości od reszty życia i pod tym względem sądzimy, iż pani Schreiner, ujawniła głęboką przenikliwość i niezależność wobec kobiecych sentymentalistów. Z tego wszakże nie wniosek, aby po za miłością trzeba było wkładać na siebie jarzmo małżeńskie — jak ona tego chce — wywołując w ten sposób wrażenie głębokiego wstrętu.

Jesteśmy jednak znowu w zgodzie z autorką, gdy Lyndall mówi kochanemu: „A zresztą lubię doświadczenia, lubię próbować. Pan tego nie rozumiesz.“ Tak, jest rzeczą umysłów śmiałych zrywać zasłonę Izydy, chociażby nawet kosztem pęknięcia serca i zniszczenia przyszłości.

„Poprosiłam pana, aby mu wyłożyć mój plan; jeżeli on się panu podoba, dobrze; w przeciwnym razie wychodzę za mąż w poniedziałek.

— Na czemże ten plan polega?

— Nie mogę wyjść za pana, gdyż nie chcę się krępować, ale zawieź mnie pan tak, jeżeli chcesz, do Transvaalu. Jestto po za światem. Ludzie, których tam spotkamy, nie zobaczą nas nigdy potem. Gdy miłość się skończy, powiemy sobie: dobranoc.

— Oh, moja droga, rzekł, pochylając się nad nią z czułością, czemuż nie chcesz być zupełnie moją?

Potrząsnęła głową, nie spoglądając na niego.

— Nie, życie jest zbyt długie; ale pójdę z panem.

— Kiedy?

— Jutro.“

Stało się jak przewidziała. On umiał wprawiać w życie tylko niższą stronę jej natury. Pomimo więc, iż go kocha, opuszcza go, nie zwracając żadnej uwagi na jego prośby i błagania. „Pozwól mi wrócić do ciebie - pisze do niej — moja droga, pozwól się otoczyć moją ręką opiekuńczą. Gdy będziesz moją żoną, nikt nie ośmieli się podnieść palca przeciw tobie. Nauczyłem się kochać cię rozumniej, czulej niż kiedyś; będziesz zupełnie wolna. Na litość wyjdź za mnie.“

Otrzymała list ten w hotelu, gdzie musiała się zatrzymać dla porodu. Dziecko nie przeżyło kilku godzin. Odpowiedź brzmiała: „To jest niemożliwe. Dziękuję ci za uczucie, które mi oświadczyłeś, ale nie mogę cię posłuchać. Nazwij mnie waryatką, głupią — na twem miejscu świat by tak postąpił; ale wiem, czego mi potrzeba i jaką powinna być moja droga. Nie mogę wyjść za ciebie. Będę cię zawsze kochała — ale na tem wszystko skończyć się powinno. Ja chcę widzieć i wiedzieć; nie chcę być związaną z człowiekiem, którego tak wielce kocham. Nie boję się świata — przyjmuję walkę z nim“

Trzeba przyznać, że cytata powyższa więcej mówi o kobiecie, o tej stronie jej ducha, która jest zawsze w ukryciu, niż setki powieści, napisanych przez mężczyzn. Oni nam zawsze malują tchórzliwe gąski, tu mamy przed sobą niezależną bojowniczkę.

Przyzwyczailiśmy się względem kobiet do psychologii nader powierzchownej, a może i poczucie mniemanej wyższości nie pozwala nazbyt źle ich sądzić. I po co szukać nagości charakterów? Od sąsiada, z którym jemy przy wspólnym stole w restauracyi, wymagamy, aby był czysto ubrany. Jak wygląda pod szatą, mało nas obchodzi. Od kobiety wymagamy tylko piękna i elegancyi. One jednak same odsłaniają nam zadziwiające strony swych charakterów. Oto jeszcze przykład: Piękna Jersamine, jedna z gwiazd salonów londyńskich, ucieka w głąb Szkocyi, aby się uwolnić od związku małżeńskiego ze starym, obrzydliwym lordem Heriot, którego jej przeznacza rodzina. Spędza ona lato przy żniwach i na paseniu owiec. Podobał jej się piękny, barczysty chłop, o płowych włosach i niebieskich oczach, Colin, który nie ma wprawdzie ani jednej myśli wytwornej pod czaszką, ale tchnie zdrowiem i obietnicą rozkoszy. Lato działa, krew się burzy; Jersamine przychodzi do wniosku: „Muszę mu się oddać, lub umrzeć!“

Obawia się wszakże świata, przesądów, rodziny. „Nie śmiem! — woła — nie śmiem! Cała przyroda przeznacza mi go na kochanka. Wolę jego siły i prostotę, niźli całą kulturę londyńską. Mam dość kultury. Ale nie śmiem!“ Nareszcie ulegnie sile namiętności. Przyjdzie na świat dziecko? To i cóż! I owszem, będzie ono zdrowe i piękne. Niechaj sobie znajomi londyńscy powiedzą co zechcą. „Będę z nimi otwartą. Trzymam me dziecko na ramieniu i powiadam im: Jest to dziecko człowieka, którego kocham i któremu zawsze będę wierną, jakkolwiek nigdy więcej go nie zobaczę. Nigdy nie widziałam człowieka tak dobrego, tak uczciwego i tak pięknego; i wziął moje serce odrazu. Był to chłop, który żył w chacie i pracował w polu. Miał postać wspaniałą przy żniwach. Uczęszczał do szkoły, ale to nie ma żadnego znaczenia; nie czytał wiele, lecz natomiast mówił rzeczy pogodne i rozumne. Boję się, iż nigdy nie czytał wierszy, ale oczy jego były poematami. Nie miał przygód i nałogów. Był zdrów. Promieniała zeń taka potęga dobroci, iż wystarczyło jego spojrzenie, abym się czuła lepszą. Nie mogłam wyjść za niego, gdyż byłam niezdolną do wykonania obowiązków, które przypadałyby w udziale jego żonie; ale kochałam go tak, iż oddałam mu się z dreszczem rozkoszy. A oto moje dziecko.“

Fantazya wielkiej damy dla chłopa jest nam bardzo zrozumiała ze względu na żywiołowe piękno, które w nim artystka odszukać może.

Ale, że w kobietach istotnie takie popędy istnieją, i że one ośmielą się je wypowiedzieć, tego nie można było się spodziewać, zanim kobieta sama o sobie nie zaczęła pisać.

Z charakterystyk, pisanych przez mężczyzn, kobietę można było uważać za rodzaj dzikiego, który ma na sobie torbę z fetyszami i w każdym danym wypadku doskonale wie, który z nich trzeba użyć: ząb żmii od złego spojrzenia, muszlę — gdy kot przebiegł drogę i t. d. Wydawało się, iż są to istoty mocno zahypnotyzowane, mające kilka pewników, według których sądzą i urządzają życie całe i wszechświat. Okazuje się wszakże, że i one w ukryciu doświadczają szlachetnej boleści wiedzy i zwątpienia. Zresztą impertynencyi „d'une grande dame“ wszystko jest dozwolonem, nawet kaprys dla chłopa. Colin wszakże okazuje się zwykłym, bogobojnym „chamem“. Gdy się znalazł sam na sam w stodole z piękną Jersaminą, która mu zawisła na szyi, wyobraził sobie, iż ona chce go obrać za męża i nic go z szacunku wyprowadzić nie może. „Nic pani złego nie zrobię — Colin nie chciałby nigdy pozbawić honoru swej żony“. Ten osieł wyobraził sobie, iż byłby znakomitym mężem królowej salonów londyńskich, a w żaden sposób nie mógł zrozumieć roli, w której tyle się po nim spodziewano. Trzeba się było wyrzec idylli. Jersamina ucieka zniechęcona do Londynu, wychodzi za starego Heriota, który obdarzył ją dwojgiem dzieci skrofulicznych i napół przegniłych...

L. W.

Wychowanie i szkoła.

Z pola walki pomiędzy realizmem a klasycyzmem o szkołę wyższą w Prusiech.

Niedawno temu pomieściliśmy w „Przeglądzie rozprawę p. Romualda Łazęgi, w której autor daje sumaryczny pogląd na przebieg walki, jaka w ciągu ostatnich lat trzydziestu wszczęła się w Prusiech pomiędzy dwoma przeciwnemi prądami umysłowemi: klasycyzmem i realizmem, o posiadanie szkoły wyższej. Dziś z pola tej walki zanotować nam wypada dwa zjawiska, świadczące o tem, iż spór ten zasadniczy ostatnią reformą szkolną bynajmniej nie został definitywnie usunięty. Albowiem wspomniany i w wymienionej rozprawie autor, kryjący się pod przybranem nazwiskiem Alethagorasa, filolog z zawodu, ogłosił w czasach ostatnich znowu dwie rozprawki przeciwko gimnazyum klasycznemu, Jedna z nich p. t. „Unser Gymnasialunterricht. Bekenntnisse von Alethagoras“, jest drugiem wydaniem rozprawy pod tymże tytułem, zastosowanem do zmian, wywołanych w ustroju gimnazyum klasycznego przez reformę z r. 1892. Druga: „Gymnasiale Erziehung und sittliche Bildung der Jugend“, jest poniekąd uzupełnieniem pierwszej. Obie zaś zawierają choćby tylko ze względu na to, iż i naszej młodzieży znaczny odłam w gimnazyach klasycznych pobiera swą umysłową strawę, rzeczy i dla nas interesujących tak wiele, iż pozwalamy sobie rozbiorowi ich nieco więcej poświęcić miejsca.

„Unser Gymnasialunterricht“ składa się z dwóch części: w pierwszej autor stara się wykazać, iż ona mniemana niezbędność studyów klasycznych w celach wykształcenia ogólnego polega po części na przesadnem wyobrażeniu o ich wewnętrznej wartości; w drugiej dowodzi, iż jednostronne przesycanie młodzieży klasycyzmem na jej rozwój moralno-umysłowy wprost zgubne wywiera wpływy. Twierdzenie, powiada on, jakoby studyum starożytności dla naszej młodzieży z tego powodu było niesłychanie ważnem, iż nasza nowoczesna cywilizacya rozwinęła się na podstawie cywilizacyi starożytnej i stąd przez tego tylko dostatecznie zrozumianą być może, kto dostatecznie obeznał się z starożytnością, jest mylnem. Przeczyć bowiem wprawdzie nie można, iż pomiędzy cywilizacyą nowoczesną a cywilizacyą starożytnego świata istnieje pewien związek, ale ten związek podobny jest temu, jaki ongi istniał pomiędzy cywilizacyą grecką a cywilizacyą karyjską i egipską. O tem bowiem wątpić się nie godzi, iż Grecy pierwsze impulsy cywilizacyjne otrzymali od wyżej ukształconych Karyjczyków i Egipcyan. Ale te zarodki cywilizacyi rozwinęli oni tak oryginalnie, iż stworzyli z nich coś nowego, im tylko właściwego. Kubek w kubek to samo stało się z cywilizacyą nowoczesną. Powrót do studyów klasycznych w wieku XV i XVI był tylko jednem ogniwem w łańcuchu tych wydarzeń, których owocem jest nasza obecna cywilizacya. Ale ta cywilizacya jest mimo to wytworem zupełnie oryginalnym społeczeństw nowoczesnych, owocem wielu i wielu trudów, i tylko sama ze siebie ocenioną i sądzoną być winna. Że niestety nie jest ona jeszcze tem, czemby być mogła i winna, jest to po części skutkiem skrzywienia i skarłowacenia, jakiego umysł młodzieży doznaje przez zbyt jednostronne zajmowanie się studyami klasycznemi.

Również nieuzasadniona jest teza o niezrównanej doskonałości zabytków literackich starożytnego świata. Wprawdzieć bowiem w jednym względzie przyznać im można wyższość nad utworami literatur nowoczesnych, t. j. pod względem artystycznego wykończenia formy, — Ale ta zaleta jakiemiż okupiona niedostatkami! Jakaż niedokładność w przedstawieniu rzeczy, jaka naiwność i jednostronność całego sposobu myślenia i odczuwania u autorów starożytnych! Te braki występują osobliwie wybitnie w autorach rzymskich i stąd też nie bez pewnej racyi jest twardy sąd o nich Edwarda Hartmana, iż wszyscy oni nie warci, aby ich czytać po gimnazyach. Inaczej ma się rzecz z autorami greckimi, którzy pod względem zewnętrznej zawartości o całe niebo przewyższają klasyków rzymskich. Ale tu trudność formy staje na zawadzie dostatecznemu zrozumieniu treści przez ucznia i stąd to pochodzi, iż w pamięci byłych gimnazyastów męka przebyta przy ślęczeniu klasyków greckich zapisuje się o wiele krwawiej niż przy klasykach łacińskich.

Nieprawdą jest zatem, iż pod względem przydatności pod względem naukowym klasyków starożytnych zastąpić nie można żadną inną literaturą. Czyż zresztą podobna do prawdy, aby

narody, które około rozwoju oświaty tak niespożyte położyły zasługi jak angielski i francuzki nie miały nic stworzyć, coby pod względem wartości dorównywało kilku ze związku wyrwanym rodziałom Cezara, Tacyta, Herodota lub Ksenofonta? Przedewszystkiem jednakże powinien młodzieniec niemiecki obeznać się dokładnie z literaturą niemiecką. Niestety, w tym względzie najnowsze plany nie spełniły nawet najskromniejszych oczekiwań. Wprawdzieć bowiem zawierają one postanowienie bardzo rygorystyczne, iż w miejsce niewystarczającej pracy niemieckiej kompensacya w innych przedmiotach nie jest dozwoloną i że niewystarczająca cenzura w niemieckiem unicestwia choćby najświetniej złożony egzamin, ale ten rygoryzm prowadzi tylko do zniechęcenia ucznia do nauki ojczystego języka. Ponieważ bowiem ogólna ilość godzin tygodniowych w niemieckim języku tylko o trzy została pomnożoną, przeto nauczyciel niemieckiego, chcąc zadosyćuczynić wymaganiom, stawianym przez nowe plany, zmuszony jest napiąć domową pilność ucznia do najwyższego stopnia. Miecz zaś Damoklesowy egzaminu z jego rygorystycznymi przepisami, wiszący wiecznie nad głową ucznia, każe mu zbyt często w niemieckim języku upatrywać główną zawadę jego postępów.

Niemniej ważnem jest to, co autor mówi o wartości studyów klasycznych jako środka wychowania młodzieży do idealizmu. Jeśli idealizm, powiada on, polega na odwróceniu od rzeczywistości, natenczas przyznać trzeba, iż nie ma środka skuteczniejszego do zaprawienia młodzieży do idealnego sposobu myślenia. Jeśli jednakże idealizm jest zmierzającym do ujawnienia w czynie zapałem do tego, co dobre i piękne, zmysłem idealnym, który świadomie zmierza ku celom najwyższym, natenczas nie może on się obyć bez pewnej praktycznej zdolności i zręczności rozpoznania idealnych zadań czasów obecnych i wyszukania środków najodpowiedniejszych do ich urzeczywistnienia. Tej zaś zdolności nie wyrabia gimnazyum klasyczne w swych wychowańcach po pierwsze dla tego, iż nauka języków starożytnych zajmuje w nich kosztem wszystkich innych przedmiotów zbyt wiele miejsca i czasu, a po drugie dla tego, iż przewrotny układ nauki zapełnia głowę młodzieńca fałszywemi pojęciami, z pod władzy których później z trudnością tylko się wyzwala.

Pomiędzy tymi przedmiotami, które po gimnazyach z powodu jednostronnej przewagi studyów klasycznych doznają uszczerbku, stoją na naczelnem miejscu nauki przyrodnicze. Niedostateczność zaś wykształcenia w tym przedmiocie dotkliwie daje się uczuć nietylko przyrodnikowi z zawodu i medykowi, ale w ogóle każdemu wykształconemu człowiekowi. Rozwój nauk przyrodniczych stanowi bowiem chlubę i ozdobę naszego wieku, a wpływ ich sięga w najdalsze kończyny naszego życia. Dominujące stanowisko, jakie sobie zdobyły wśród ruchu umysłowego naszych czasów, nie jest zatem uzurpowane, jak to twierdzą filogolowie, tylko dokonało się w sposób naturalny, prawidłowy. Z tego też powodu wymagać by należało, aby każdy człowiek, do miana wykształconego roszczący sobie pretensye, przynajmniej tyle posiadał w tym zakresie pozytywnych wiadomości, ile potrzeba aby ruch na tem polu umysłowej działalności mógł zrozumieć w najogólniejszych zarysach. Tych zaś wiadomości gimnazyum klasyczne uczniom swym nietylko nie daje, ale nadto zabija w nich zmysł i poczucie piękna natury. Albowiem wieczne zakopywanie się w zbutwiałości dawno minionych piękności, wieczne ślęczenie nad leksykonami i foliantami, osobliwy zapach papieru i drukarskiego czernidła przytępia w nas zdolność odczuwania natury i sprawia, iż czujemy się tylko zadowolnionymi wśród swędu naszej lampy albo też... niekiedy — wśród piwnych wyziewów knajpy.

Podobnie jak z naukami przyrodniczemi dzieje się z nauką historyi. I tutaj bowiem bezwarunkowa przewaga historyi starożytnej nie pozwalała do niezbyt dawnego czasu uwzględniać w należytym stopniu historyi nowoczesnej. Działo się to zaś ze szkodą nieobliczoną uczącej się młodzieży. Albowiem korzenie dzisiejszego rozwoju leżą nie w owych zamierzchłych czasach Greków i Rzymian, tylko w onym wielkim procesie przetwórczym, jaki ogarnął społeczeństwa europejskie od wstąpienia Ludwika XIV i trwa aż po nasze czasy. Jest przeto szczegółowe traktowanie historyi tej epoki po szkołach naszych o wiele ważniejsze niż najsubtelniejsze wiadomości z dziedziny historyi starożytnej. Ta uwaga skłoniła też zapewne twórców najnowszych planów do większego uwzględnienia historyi nowoczesnej. Niestety, stało się to w sposób tak niewystarczający i tak mało odpowiedni, iż niewielkiej tylko zmiany na lepsze spodziewać się można. Natomiast wielce pochwały godną jest myśl zaprowadzenia po gimnazyach w związku z nauką historyi nauki o rzeczach społecznych i ekonomicznych. Niestety, czas temu przedmiotowi poświęcony jest tak szczupły, iż niepodobna się spodziewać, aby stąd wynikło co gruntownego. A że połowiczność wiedzy nigdzie nie jest szkodliwszą jak na tem polu, przeto też wykład tego rodzaju pod pewnymi warunkami więcej może przynieść szkody niż pożytku. Żałować także należy, iż w tej nauce o sprawach życia praktycznego pominiętą ma być zupełnie nauka o zasadniczych pojęciach państwowego prawa niemieckiego i pruskiego. A przecież nasza konstytucya, nasze prawo wyborcze, prasowe i prawo o stowarzyszeniach i zebraniach, organizacya naszego sądownictwa i administracyi są to pierwszorzędne czynniki życiowe, a stąd znajomość najogólniejszych pojęć na tem polu jest niezbędnym warunkiem wykształconego człowieka. Brak zaś tej znajomości tem dotkliwiej daje się uczuć w późniejszem życiu, iż wyjąwszy tych, którzy z konieczności temi sprawami zajmować się muszą, niewielka tylko cząsteczka młodzieży z wyższem wykształceniem znajduje czas i sposobność zaradzenia swej absolutnej w tej mierze niewiadomości.

L.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA KRAKOWSKA.

Kraków, 22 stycznia.

(*Cholera. Muzeum Czartoryskich. Gimnazyum św. Anny. Towarzystwo Sztuk Pięknych. Nagrobek Popiela. Związek literacki. Z teatru. Miscellanea*).

Nareszcie dowiedzieliśmy się, jak wielką była cholera w Krakowie w r. 1894. Urzędowo nie istniała, bo szło o wystawę lwowską. Pisma milczały, żadnych większych ostrożności nie przedsiębrano, nawet się nie starano o większą czystość w mieście, a cholera przecież była. Zawiadomiło nas o tem sprawozdanie szpitala Bonifratrów, przy którym znajdował się tymczasowo otworzony oddział dla chorób zakaźnych. W samym lazarecie przy szpitalu Bonifratrów umieszczono 109 osób zapadłych na cholerę, z których zmarło 66. Jeżeli weźmiemy na uwagę, iż nie wszyscy dostali się do lazaretu, a więc do podanych liczb dorzucić coś jeszcze należy, to przekonamy sie, że prawie nieświadomie przebyliśmy dość groźne chwile. Wspomniawszy o szpitalu Bonifratrów, należy zaznaczyć filantropijne zasługi Konwentu. Utrzymuje on się z darów, nie posiada wielkich stałych dochodów, a przecież zwraca się z miłością ku chorym i cierpiącym niedostatek. W roku zeszłym leczono w jego szpitalu 654 chorych. Podczas restauracyi jednego z oddziałów, chorzy przez sześć miesięcy umieszczeni byli w celach zakonników. W bieżącym roku ma być założony stały oddział chirurgiczny z odpowiednią salą operacyjną i ogrodem dla chorych; dobudowaną też zostanie nowa trupiarnia, szpital ma otrzymać pokrycie dachówkowe, zakupić aparat desinfekcyjny itd. Przy tylu przedsięwziętych ulepszeniach, a braku odpowiednich środków konwent Bonifratrów odwołuje się do ogółu, prosząc o wsparcie dla tej jednej z najstarszych w Krakowie instytucyi dobroczynnych (szpital został założony w roku 1616, a klasztor przy nim zbudowano w roku 1688).

W imieniu spadkobierców ks. Władysława Czartoryskiego wniesioną została prośba do Rady miejskiej, aby pozwoliła Muzeum Czartoryskich rozszerzyć ku Bramy floryańskiej. Rozszerzenie to musiałoby powstać kosztem zburzenia części starych murów fortecznych wraz z basztą stolarzy. Są to i tak już tylko resztki: Kraków z każdym rokiem przyjmuje coraz więcej cechy miasta nowożytnego. Chociaż więc Muzeum Czartoryskich jest instytucyą pierwszorzędnego znaczenia, nawet dla niego nie należy robić wyjątku, nie wolno po prostu miastu pozbywać się charakteru, którym się wyróżnia głównie z pośród innych miast polskich. Z tego powodu Rada miejska nie mogła się przychylić do prośby spadkobierców, a uwzględniając znaczenie Muzeum, poruczyła odpowiednim swoim organom, aby zaprojektowały w innym kierunku rozszerzenie gmachu muzealnego.

Od dawien dawna myślano o innem rozszerzeniu, a mianowicie o przybudowaniu nowego skrzydła biblioteki Jagiellońskiej. W tym celu potrzeba przenieść gimnazyum św. Anny dotykające do murów biblioteki. Nie wiem, jak właściwie projekt się przedstawia, a zanim się postaram o tem dowiedzieć, winieniem zaznaczyć przypuszczenie, iż gmach gimnazyum św. Anny (dawne liceum nowodworskie) zostałby zapewne tylko przerobiony, gdyż należy również do starych zabytków Krakowa i posiada charakterystyczny dziedziniec. Władze rządowe chcąc go odstąpić dla rozszerzenia biblioteki, szukały innego miejsca na wybudowanie gimnazyum. Prowadzono w tym celu układy z konwentem OO. Franciszkanów, który posiada całkiem odpowiedni plac na rogu plantacyi naprzeciw pałacu biskupiego. Ale rokowania nie doprowadziły do pomyślnego rezultatu i rząd traktuje obecnie z właścicielem placu na tak zwanych Groblach w pobliżu Wisły i Zamku. Nie zdaje mi się, aby miejsce było stosownie wybrane, bo leży w dzielnicy mało zamieszkanej, zdala od środka miasta.

Towarzystwo Sztuk Pięknych natychmiast po śmierci Rodakowskiego przystąpiło do wyboru nowego prezesa. Został nim hr. Edward Raczyński, poseł na sejm krajowy, i, jak zawiadamia komunikat dyrekcyi Towarzystwa, „znany miłośnik sztuki.“ Zabawnie się spisał „Tygodnik Illustrowany“, podając portret t[illegible] „miłośnika“ z podpisem: nowy dyrektor Sz[illegible] Sztuk Pięknych (!) — przez to nikomu [illegible] znany „miłośnik“ wyrósł na osobistość w[illegible] boć przecież nie daje się portretów [illegible] tnych osobistości. Pospieszny wybór [illegible] Rodakowskiego okazał się koniecznym [illegible] iż organizacya Towarzystwa weszła w [illegible] fazę. Donosiłem już, że filia lwowska za[illegible] się w odrębną instytucyę, ztąd też krako[illegible] Towarzystwo przestało się nazywać „zjednocz[illegible] nem“ i ograniczyło swoją działalność na K[illegible] ków. Dla ułatwienia rozwoju nowego To[illegible] rzystwa lwowskiego, uchwaliła dyrekcya T[illegible] rzystwa krakowskiego oddać mu na włas[illegible] cały inwentarz, znajdujący się w lokalu wystaw[illegible] lwowskiej oraz zostawić mu remanent kasow[illegible] tytułem pożyczki do 1 lipca 1895 r.

Płyta nagrobkowa śp. Pawła Popiela, dł[illegible] Piusa Wetońskiego, odlana w bronzie w zak[illegible] dzie Nellego w Rzymie, wmurowaną już z[illegible] w ścianę wewnętrzną kościoła Marjac[illegible] przy wejściu bocznem, od strony ulicy Fl[illegible] skiej. Przedstawia ona w płaskorzeźbie [illegible] postać Popiela w ubiorze polskim, w [illegible] c[illegible]vartych naturalnej wielkości. Dzien[illegible] dają napis pod płaskorzeźbą. Nie miał[illegible] sobności sprawdzić o ile to podanie jes[illegible] godnem, ale ponieważ nie mam powodu w[illegible] o tej wiarogodności, przeto zaznaczam, iż [illegible]

i składnia napisu pozostawiają niesłychanie wiele do życzenia. A przecież Popiel tak dobrze pisał po polsku, iż należało w napisie na jego pomniku unikać błędów rażących. Przypominają mi się plakaty komitetowo-magistrackie za czasów jubileuszu Kraszewskiego i pogrzebu Mickiewcza, które dowodziły jak mały wpływ pod względem języka wywarł wielki poeta i najpłodniejszy powieściopisarz na... magistrat krakowski.

W „Związku literackim“ bardzo interesującą i zręcznie podaną pogadankę miał p. Stefan Kossuth, znany inżynier, prezes ostatniego zjazdu techników we Lwowie. Rzadko udzielane w „Związku“ oklaski, któremi podziękowano prelegentowi, były dowodem, jak treść pogadanki zajęła słuchaczy, lubo nie było w niej nic mającego związek z literaturą. Prelegent jasno i przejrzyście skreślił w lekkim szkicu dzieje przemysłu fabrycznego w Królestwie Polskiem i wykazał jego znaczenie społeczne, oraz strony ujemne. Kiedy mowa o „Związku“ należy zaznaczyć, iż wystąpił on z działalnością na zewnątrz, objąwszy stale w „Świecie“ rubrykę sprawozdań literackich. W ostatnim numerze tego pisma pomieszczono ich kilkanaście, wyszłych z pod pióra pp. Adama Chmiela, Feliksa Konecznego, Józefa Tretiaka, Kazimierza Bartoszewicza i Romana Zawilińskiego. „Związek“ pragnie temi sprawozdaniami wywrzeć pewien wpływ na krytykę literacką w Galicyi. Potrzebuje ona rzeczywiście reformy, bo nie jedno dzieło zabija milczeniem, nie zawsze się kieruje w wyborze omawianych książek względami literackiemi i naukowemi, a zna przeważnie dwie tylko metody: dyletancki panegiryzm, lub osobistą napaść. Rzadko poruszam w moich korespondencyach repertuar teatru krakowskiego, ale czuję się w obowiązku zaznaczyć niezwykłe powodzenie „Intratnej posady“ Al. Ostrowskiego. Zdawałoby się, iż sztuka rosyjska, osnuta na życiu wewnętrznem, że tak powiem domowem innego społeczeństwa, odbiegająca zresztą od form dramatycznych, przyjętych przez dominujący w teatrze kierunek zachodni, nie może mieć warunków powodzenia na scenie krakowskiej. Tymczasem dawno nie zdarzyło mi się widzieć takiego zainteresowania publiczności. „Intratna posada“ stała się od tygodnia wybitnym tematem rozmowy w kołach inteligencyi, co dowodzi jej rzeczywistej wartości. Do powodzenia sztuki przyczyniła się również wyborna gra p. Kamińskiego w roli naczelnika. [C]eniony ten i zawsze lubiany aktor, rolą [t]ą stanął na wyżynie uprawianej przez siebie sztuki.

„Czas“ pomieścił w fejletonie dobrze napisaną sylwetę Henryka Rodakowskiego pióra p. Stanisława Tomkowicza. — W teatrze występował p. Ludwik Wierzbicki znany baryto-[nista]. — Dla dwóch wnuczek sióstr Kościuszki, [...]skiej i p. Niwińskiej, zostających w zu[...]nędzy, przesłał p. Schmyler, wiceprezes [...]cyi posiadaczy orderu Cincinnatus, zapo[...]ło 90 złr. wynoszącą. Wstyd do[...] iż aż z Ameryki muszą przychodzić [...]e dla tych dwóch staruszek. Przynaj[...]dną z nich, jako *hrabiną,* mogłaby się [...]ować arystokracya galicyjska. Ale ary[...]cya ta zapewne kontenta, że ją Ameryka [...]ręcza.

K. Bartoszewicz.

KRONIKA BERLIŃSKA

Berlin, 18 stycznia 1895.

[...] życia politycznego i artystycznego — Uchwała akademików.)

Nie zawsze tak wyraźnie jak w chwili [...]uwydatniają się dwie strony życia ber[...]: polityczna i literacko-artystyczna.

W zeszłym tygodniu zajmowały wszystkich mowy w parlamencie i obrady nad projektem antiprzewrotowym: wieczorem i późno. w noc sprzedawano po ulicach nadzwyczajne dodatki dzienników tutejszych z najświeższemi mowami deputowanych, a ciekawość tłumów wypełniała przekupniom kieszenie. Jedno z tutejszych pism humorystycznych zamieściło zaraz, pijąc do mowy Gröbera (centrum) wesoły artykulik mniej więcej trj treści: Jeżeli rząd chce ograniczyć wolność prasy, a co lepsza wolność profesorów na katedrach uniwersyteckich, to powinien się przedewszystkiem wziąć do radykalnego oczyszczenia literatury niemieckiej. A więc precz z Goethem i z jego Faustem, tą dumą Niemców, bo czyż to nie wprost naigrawanie się z religii w znanych słowach Fausta:

> Habe nun, ach, Philosophie,
> Juristerei und Medicin
> Und leider auch — Theologie
> Durchaus studiert... itd.

Spalcie dalej Heinego, bo któż widział patrzeć za jego rybakiem na czarującą lecz nagą Lurley!

Dalej odwiedziny Hohenlohego u Bismarcka intrygują prasę i czytających, Upatrują w tem demonstracyjny zwrot i powrót do polityki Bismarcka, bo pocóż jeździłby Hohenlohe, jeżeli nie wprost po wskazówki i nauki do żelaznego starca, który z dumą sam do siebie zawołać może: Galilee vicisti!

Na chwilę zajęło wczoraj umysły otwarcie sejmu pruskiego i mowa tronowa, z treści której giełda przedewszystkiem korzystne dla siebie wyciąga wnioski; dziś znowu niespodziewana wiadomość o złożeniu urzędu, właściwiej o ucieczce i uchyleniu się z niebezpiecznego stanowiska Casimira Perier jest przedmiotem głośnych mów i rozpraw, przypuszczeń i domysłów.

Obok tego politycznego życia płynie sobie żwawo strumień życia literacko-artystycznego, ożywiony od dni kilku nowem dziełem Ibsena „Mały Eyolf“, którą to premierę „Teatr Niemiecki“ ostatniej Soboty wystawił.

Ponieważ „Przegląd Poznański“ drukuje właśnie obszerniejszą o dramacie tym rozprawę, nie będę się więc wdawał w bliższy jego rozbiór. Zrobię tylko uwagę, której dotąd nie znalazłem w recenzyi p. Nobody. Pomijając mniej lub więcej zagadkową myśl utworu, chciałbym wskazać jedno psychologiczne, wysoce prawdziwe spostrzeżenie norwegskiego autora. Kiedy po tragicznej śmierci Eyolfa widzimy ojca jego wpatrzonego w straszne nurty, które mu syna pochłonęły, to smutek głęboki serca nasze ogarnia i czujemy z nim razem. Po chwili jednak ojciec ten zdaje nam się przed samym sobą grać komedyę, kiedy nagle zrywa się i wyrzuca sobie, iż mógł na chwilę o dziecku swem zapomnieć, syna wypuścić z pamięci — a wrażenie to potęguje się, kiedy, sam siebie niby chcąc ukarać za to, wydziera się na brzeg wody, by tam na dnie szukać swej straty, lecz po kilku słowach siostry zaraz od zamiaru odstępuje. Traci na tem w oczach naszych bohater dramatyczny, zyskuje Henryk Ibsen jako autor, psycholog głęboki i obserwator. Bo czyż tak nie jest w istocie, że ludzie w najtragiczniejszych życia chwilach nie tylko przed światem, lecz i przed samym sobą grają nieraz komedyę, jak gdyby stali na deskach teatralnych?

Sztukę tę grano wobec przepełnionego teatru. Gdy po akcie pierwszym publiczność oklaskiwała i aktorów i autora, wyszedł dyrektor teatru, by oznajmić publiczności, że Ibsen nia mógł przybyć do Berlina, bo równocześnie przygotowuje przedstawienie w Chrystyanii; przesyła jednakowoż widzom zapewnienie, że duchem będzie przy nich i z nimi.

„Z oklasków, jakiemi go państwo darzycie, widzę, że tak jest w istocie“ kończył dyrektor. Nie tyle oklaski jednakowoż świadczyły o tem, że publiczność berlińska dorosła do wyżyn Ibsenowskiej myśli, ile ta głęboka, wielka cisza, panująca wśród audytorium od początku do końca przedstawienia, lubo w trzecim akcie spokojna akcya w większej części tylko w szkatułkach mózgowych dwóch osób się toczy. Nie wiedziałem, co więcej podziwiać: czy aktorów (Sormę w roli Rity), czy Berlińczyków, dość, że bezwiednie żal mi serce ścisnął, gdym pomyślał o innem mieście i o innym teatrze, i mówiłem sobie: jakże moim jeszcze daleko do tego poziomu i do tej cywilizacyi przeciętnego Berlińczyka!

Towarzystwo naukowe Polaków w Berlinie nie tylko wstrzymaniem się od tańca zaznaczyć chce smutnej pamięci rok 95. Byłaby to tylko zewnętrzna forma, tylko połowiczna żałoba. W dobrem zrozumieniu rzeczy i potrzeb towarzystwo to pozytywną żałobą zaznaczy swój byt i działalność, zajmując się oświecaniem polskich mas robotniczych w stolicy niemieckiej.

Przynajmniej taki wniosek przeszedł na ostatniem zebraniu zeszłorocznym tegoż towarzystwa, życzyć tylko wypada, by nie zbyt długo czekał na urzeczywistnienie.

Z estrady i sceny.

Występy Heleny Modrzejewskiej.

II.

Elektryzowała niegdyś „Fedora“ europejską publiczność, — elektryzowała ją więcej może niż inne dramaty Sardou i rodzeństwa jego. Dziś czar ten utracił potęgę swoją, bo imię jego było: „aktualność“. Gdy echa bomb petersburskich przebrzmiały i nihilizm, bądź to na szubienicach, bądź w więziennych lochach najżywotniejszą cząstkę swej duszy wyzionął, przestał pociągać ten dramat szerokie tłumy, uwielbiające sztukę jako illustracyę dziennikarskiej „haute nouveauté“, — scenę, jako dramatyzowany „Ekstrablatt“. A mimo to „Fedora“ w towarzystwie „Damy kameliowej“, „Adrienny Lecouvreur“, „Frou — Frou“ i kilku innych „kiczów“ scenicznych, oparła się duchom zniszczenia i żyje. Nie nęci tam prawdy i piękna nieśmiertelność, zginęła aktualność, lecz została — rola. Dzieje rozpaczającej, zemstą dyszącej, miłującej, dręczonej sumieniem, czołgającej się u nóg kochanka, trującej się i umierającej Rosyanki, to temat godny mistrzów techniki scenicznej, to skarbnica olśniewających efektów i zwierciadło talentu nie tyle dla artysty-psychologa ile dla artysty-wirtuoza. Tu wstrząsająca potęga szczegółów zasłonić musi błędy kompozycyi, tu moment psychologiczny powinien nakazać milczenie refleksyi i wymazać z mózgu pytanie: Czy ta „Fedora“ jako całość jest życiem, czy sztucznym produktem, — człowiekiem, czy Homunculusem. Modrzejewska pokusiła się o tryumf artystki nad autorem, o przelotną rehabilitacyę sztuki przed publicznością i — zwyciężyła.

Widziałem kilka razy „Fedorę“ na wielkich scenach europejskich i wynosiłem zawsze nieomal wrażenie, że utwór ten przedstawia nawet dla pierwszorzędnych talentów poważne niebezpieczeństwo. Jest tam tyle sytuacyi jaskrawych, tyle pokusy dla amatorstwa „sztuczek“, tyle błyskotek i fajewerkowych akcentów, że trzeba nosić w duszy niemało miary artystycznej, aby tej postaci scenicznej nie ustroić w pawią pstrokaciznę. Tu nietylko barw dorzucać nie wolno, lecz wręcz soczystość niektórych kolorów łagodzić należy.

Żałowałem istotnie, że nie mogłem Heleny Modrzejewskiej w tej właśnie roli zaprezentować heroinom berlińskich i wiedeńskich teatrów, a mianowicie bawiącej obecnie w Poznaniu na gościnnych występach pani Barkany. Przekonałbym je może, że wyzyskiwanie i tworzenie efektów nie jest bynajmniej pierwszym atutem sztuki dramatycznej, — że nieraz potężniejsze wrażenie osięga przytłumienie światełek i dyskretne zawoalowanie błyskotek. Zdawało mi się w czwartkowy wieczór, że Modrzejewska w scenach sztucznie naprężonych

W sytuacyach zdradzających śrubę autorską stara się usilnie o wprowadzenie ludzkich akcentów, niejedne tony pomija tendencyjnie, niejedną rakietę dusi w swej ręce, zamiast prezentować ją widzom: Patrzcie! jak to świeci! Oczywiście pozostała artystka słynna, jak w innych utworach nowoczesnych, tak i w roli „Fedory“ wierną tradycyom sztuki, wierną klasycyzmu prawidłom. Była ona nieraz tak piękną w swojej deklamacyi, ruchach i wygięciach, że przypominał mi się chwilami styl menuetowy, a chwilami formy starogreckiej rzeźby. I były takie momenty w tej grze wytwornej, że żal czułem prawie do artystki wielkiej, bo za piękną była, za klasycznie piękną. Nie widziałem Eleonory Duse w tej roli, ale opowiadano mi, że w chwili konania wielka realistka włoska kręca się na ziemi w kurczach śmiertelnych, a potem powtarzając kilkakrotnie „Loris!“ kona w ramionach kochanka z jakimś cierpkim jękiem i skrzywieniem strasznem. Modrzejewska natomiast, opróżniwszy krucyfiks srebrny z jadu trującego, i wychyliwszy czarę kryształową z płynem zabójczym, zaledwie lekkim grymasem uzewnętrznia fizyologiczne objawy zatrucia, jakby ból duszy zagłuszył wszystko... każdą inną mękę. A potem wznak się przewraca i padając na szezlong, kreśli linię piękną i tworzy — posługując się gwarą malarską — „akt“ iście akademicki...

Mniej „akademii“ zdradzała „Dama kameliowa“, którą do najlepszych kreacyi wielkiej artystki zaliczam. Z tej suchotnicy nie płynęła ku widzom atmosfera kliniczna, a mimo to czułem śmierć na scenie, — śmierć, wygryzającą resztki płuc Małgorzaty Gautier. W akie piątym była Modrzejewska jak lampa dogasająca, światełko drgało, na chwilę jasnym strzeliło płomieniem, i mrok śmiertelny ogarnął duszę, odkupioną przez miłość. A o tej wielkiej miłości mówiło nam każdo drgnienie głosu, każdy błysk źrenic i wyraz oblicza. Modrzejewska posiada niezwykły talent uzewnętrzniania wrażeń psychicznych, wyłącznie za pomocą oczu i muszkułów twarzy. Oczami wpija się nieraz w towarzysza dyalogu a nieznacznemi ruchami powiek i warg zdradza wszystko, co w głębinach duszy się dzieje, — cały rezultat psychiczny wysłuchanej powieści. Modrzejewska w dyalogu nie jest nigdy bierną. Milcząc słucha, a słuchając mówi. Chyba, że postulat roli myśl jej uprowadza. Wtedy czujesz, że dusza jej błąka w oddali.... Nasze artystki w tym właśnie względzie mogłyby się wiele od słynnej koleżanki nauczyć. Tu oczywiście niezbędnem jest w pierwszym rzędzie pamięciowe opanowanie roli, bo jeżeli aktor w czasie przemówień partnera namyśla się nad własną odpowiedzią i ku suflerowi spogląda, to spójni między osobami dyalogującemi publiczność nie odczuje nigdy.

I pragnąłbym jeszcze zwrócić tu uwagę na niezwykłą harmonię kostyumów i typu, cechującą każdą kreacyę gościa naszego. Helena Modrzejewska nie pragnie być żywym żurnalem, lecz szuka w tualecie sprzymierzeńcca swej roli. I dla tego w sukniach „Damy kameliowej“ jest lekkość, powiewność i upojenie, w kostyumach Magdy z „Gniazda rodzinego“ przepych odurzający i efektowna śmiałość. Dla tego kolor i forma sukien dostraja się do barw sytacyjnych i mieni się tąk jak losy bohaterki. Artystka nie pyta się, co moda najświeższa przynosi, lecz tworzy modę samodzielnie, nie szuka tualety dla tualety, lecz kostyumu, potęgującego koloryt kreacyi. O ile sobie przypominam to w historycznych ubiorach „lady Macbeth“ ciemne, ponure barwy dominowały wszechwładnie. Była Modrzejewska jak noc, kryjąca zbrodnię w pomroku, i mrokiem gęstym, półzgniłym szaty swoje barwiła. Dopiero w słynnej scenie lunatyzmu i halucynacyi, gdy jak duch pokutny krąży po komnatach zamkowych, stanęła w białym negliżu na scenie. A była cała senna i chwiejna i strachem owiana, — dziwnie, przedziwnie potężna w tej chwili. Na szczęście żaden dziwoląg reżyserski nie odstroił tego momentu, choć po dziwolągach pierwszego i drugiego aktu straciłem już nadzieję, by scena ta, przejmująca swą grozą, najdramatyczniejsza może w całym Szekspirze, ocaleć mogła bez uszczerbku. Po tych wiedźmach, nie mogących zapaść się w ziemię, po tej kurtynie, spadającej przedwcześnie, gdy lady Macbeth odprowadza króla do komnat sypialnych, — byłem już na wszystko przygotowany. Żal mi też było, że nazajutrz skreślono z Mazepy symboliczną scenę z liliami. Jak kwiat lilii czystą, wiotką i poezyi pełną była Modrzejewska, jak lilia złamała się u stóp zazdrosnego starca; radowałem się próżno, że ujrzę ją przy Zbigniewie z kwiatami niewinności w ręku i bolesnym uśmiechem Madonny na ustach.

Władysław Rabski.

NA WYŁOMIE.

(*Słówko o tańcującej żałobie*).

Szumi Poznań i korkami strzela. Zdawaćby się mogło, że naród święci dziejowe tryumfy i saskie bachanalje wykopał z popiołów. Arystokratyczny Bazar roi się powiewną Terpsychory dziatwą i, gdy mrok ziemię żałobną otuli, pląsa w wirze szalonym garść niedobitków, — „ostatnich Mohikanów“ gromadka. Huczy kapela, kipi szampan w kielichach i bal za balem goni bez wytchnienia. Przepraszam! Książę Karnawał wraz ze świtą swoję wyraz „bal“ wymazał z słownika noworocznego i tańcującą hulankę pełną brylantów, wspaniałych tualet, grzmiących mazurów, musujących butelek i szumek o świcie, niewinną marką „rautu“ przyozdobił. I oto pojawiają się w „Dzienniku Poznańskim“ dziwne anonse. Słuchajcie: „W sobotę 19 b. m. odbędzie się raut na sali bazarowej. Bilet 3 Mr.“ Nic więcej. Żadnych nazwisk pod ogłoszeniem. Kto urządza te bale ochrzcone rautami, na jakie cele, — pozostaje ścisłą tajemnicą, w noc anonimu spowitą. Przypomina to mniej więcej dwujęzyczne ogłoszenia przylepiane nieraz na litfasach: „Dziś zabawa z tańcami „pod śpiącym aniołkiem“ na Górnej Wildzie. — Heute grosses Tanzvergnügen „zum schlafenden Engel“. Oberwilda.“ I kropka. Nie będę szukal wyjaśnienia tej dziwnej w historyi zabaw Bazarowych nowacyi, nie będę rozstrzygał, czy jakiś cichy wyrzut sumienia podyktował tę niezwykłą formę anonsu lub brak cywilnej odwagi nazwiska gospodarzy i gospodyń balowych w kałamarzu uwięził, — wiem tylko, że starsza generacya arystokracyi naszej, — ta wytworna, słynąca z dobrego tonu i taktu patrycyuszów rzesza — zdumionemi oczyma spoglądać musi na „rauty“ nowoczesne i ogłoszenia balowe.

Być może, że w szlachetnym odwecie za uwagi moje rozpuści znów jaka Ewy córa cudowną anegdotkę o rzekomym „pogromie dziennikarskiej inkwizycyi“ i taką legendą, wysnutą z rozbujałej fantazyi a pozbawioną nawet cienia prawdy, brak poważnych kontrargumentów zasłoni, ale uprzedzam, że bronią plotki kłamliwej nikt nam pióra nie wytrąci z ręki. Nie hołdując wygodnej zasadzie puszczania z prądem dziennikarskiej łodzi i zwijania sztandaru za czarodziejskiem zaklęciem względów towarzyskich, raz jeszcze wołam o stłumienie szału balowego, który nie umiarkowane mieszczaństwo poznańskie, lecz karnałowy import ziemian wielkopolskich ogarnął. A prośbę moją w pierwszym rzędzie pod adresem pana Dobrowolskiego wysyłam, bo winowajcą głównym tej wielkiej tragikomedyi, tych niebywałych od lat 10 saturnalji w roku żałoby jest mistrz maskarady, balansujący jak łyżwiarz wytrawny „Dziennik Poznański.“ Jak lis w myśliwskim kociołku uwija się organ poważny, — staje, nasłuchuje, w lewo uderza, to znów w prawo skręca. W każdym artykule „Dziennika“ jest furtka lub drzwi tapetowe. Lisiej zręczności nie znajdziesz tam nigdzie, ale naturę lisią w każdym ustępie „żałobnych“ refleksyi. O ile znam p. *Dobrowolskiego*, to przekonany jestem, że w głębinach duszy nosi on wstręt do Lukullowych igrzysk balowników naszych, bo cokolwiek człowiekowi temu zarzucić można, śmiać on się nie będzie w dniach smutnej rocznicy. Ale starzec ten, dziś już złamany i zgięty, nie ma odwagi stawić hardego czoła opinii publicznej, — opinii akcyonaryuszów i prowincyonalnych możnowładzców. Dziś nie p. Dobrowolski kieruje „Dziennikiem“, lecz ręka „parów i lordów“ poznańskich. Była jedna chwila, w której nasz „europejski“ organ zagrał potępienie tańcującym żałobnikom, — była jedna chwila, w której zabawa maskowa baletmistrza Witkowskiego uległa ostrej krytyce w „Dzienniku Pozn.“, ale gdy zamiast kupieckich młodzików i skromnego nauczyciela tańców huf młodych patrycyuszów rozpoczął pląsy szalone przy strzałach szampańskich butelek, wtedy umilkła satyra i nie odważył się organ ziemiaństwa urągać filarom swoim. Klątwa tańcującym mieszczanom, błogosławieństwo ucztom senatorów! — oto kwintesencya dyplomacyi „Dziennika Poznańskiego“, a obłuda ta jest znamiennym rysem całego organu.

Niechaj mnie nikt nie posądza o tendencyjne nakładanie barw w tej smutnej powieści, bo nie zaśpiewał wprawdzie organ europejski panegiryku na cześć „rautów“ bazarowych, ale ogłosił wielkie rozgrzeszenie i gromką pobudkę balową w korespondencyi krakowskiej, zamieszczonej na pierwszej stronnicy pod kreską. Wśród figarowych wiadomostek o hucznych zabawach „pod Baranami“ u Badenich, Popielów i Tyszkiewiczów, wśród kadzideł feljetonowych na cześć „pączka wiosennego“ hr. Elżbiety Tarnowskiej i panegiryzmu dla młodego Czartoryskiego, studenta uniwersytetu, „lubiącego myśliwstwo“, znajdujemy tam takie ustępy:

„Lwów, znużony wystawą, odpoczywa na laurach, w Warszawie urzędowa dworska żałoba krępuje prywatne zabawy, w Poznaniu sztucznie przez panią Modrzejewską zaklęte do życia miasto rychło zapewne wróci do zwykłego stanu odrętwienia. Zaczem jeden tylko Kraków gotów ściągać młodzież z całego kraju i zabrzmieć wrzawą zapustną. Cieszy nas to z wielu względów, i dla miasta, które ztąd odnosi nie mało materyalnych korzyści, dla kupców i hotelistów, którym się może uda powetować straty opustoszeniem lat ostatnich spowodowane, dla życia towarzyskiego, zadatku cywilizacyi i ogłady, bez którego marnieją społeczeństwa, nareszcie dla wznowienia Unii horodelskiej, powtórzenia ślubów Jadwigi z Jagiełłą, zacieśnienia węzłów rozbitej, rozdartej ojczyzny, małżeństwami skojarzonemi między przybyszami z różnych stron kraju.

...Dotychczas sejm i łowy odciągają część męzkiego kontygensu i przewaga płci pięknej nadmiernie się znaczy, ale niebawem i młodzież ochocza ściągnie do Krakowa, aby wśród wiosennego zastępu panien wybierać towarzyszki mazura — a bodaj i życia...

...Zresztą na cóż się młodzież zjeżdża? — na to, aby się poznawać wzajemnie, żenić i zakładać coraz to nowe domowe ogniska. A że te ogniska jedyną dziś przystanią i warownią polskiego ducha, jedyną lepszej przyszłości rękojmą, cieszyć nam się raczej i ułatwiać liczniejsze zjazdy należy, których niezawodnym skutkiem będzie niezawodnie powstawanie coraz to nowych rodzin, nowych ogniw w łańcuchu jedności i miłości, opasającym mocą niezłomnych tradycyi i nadziei rozbitą ojczyznę naszę.“

Jak wam się podoba? zapytam z Szekspirem, — a mianowicie ten sos społeczno-patryotyczny, w którym pływa Stańczykowski panegiryzm nadwornego śpiewaka Badenich, Branickich, Zaklików i Tarnowskich. Nie miałbym nic przeciw tej szczypcie figarowej reklamy na szpaltach poważnego „Dziennika Pozn.“, gdyby nie piętno obłudy, przeświecające tu z każdego słowa.

Takiem akompaniamentem wita bale poznańskie ten sam organ „poważny“, który przed kilku zaledwie dniami nawoływał do umiarkowania w zabawie, do żałobnej powagi i oszczędności. A przecież nie chce prawdopodobnie

twierdzić „Dziennik Poznański“, że ta wręcz niezwykła s e r y a balów, urządzanych od dwóch tygodni na poznańskim bruku, te uczty wspaniałe i tualety drogocenne znamionują powagę i żałobną medytacyę.

Huczne pierwociny karnawału naszego to prawdziwe urągowisko w dniach smutnej rocznicy. Jeżeli już koniecznie przed ołtarzem Baccha i Terpsychory modlić się pragniecie, to nie ubierajcież na rany Boskie w cechy w y j ą t k o w e g o wesela żałobnego roku. A na to się istotnie zanosi.

I niechaj nikt nie mówi, że tańcujące miłosierdzie wypełni skarbnicę n a r o d o w y c h instytucyi, bo jeżeli wnioskować wolno z podziału kapitałów, przeznaczonych przez panią Modrzejewską na cele dobroczynne, to pańska ofiarność w innym kierunku zwróciła dziś przeważnie spmpatye swoje. Dla wyjaśnienia sytuacyi przytaczam tu list p. dr. Fr. Chłapowskiego, zamieszczony w „Kuryerze Poznańskim“:

„Otrzymawszy dnia 16 bm. 757,50 mr. jako czysty dochód, przypadający z przedstawienia „Adrienny Lecouvreur“ na cel dobroczynny od mej bratowej (pani Modrzejewskiej), rozdzieliłem fundusz ten w następujący sposób:

Na ręce przełożonej Siostry Ireny *Łuszczewskiej* na szpitalik dziecięcy 200 mr., na Tow. pań św. Wincentego 100 mr.

Na ręce ks. kan. *Pędzińskiego* do rady miejscowej Tow. św. Wincentego à Paulo 100 m.

Na ręce pani Anny z hr. Mielżyńskich hr. *Czarneckiej* dla Tow. Niepok. Poczęcia N. P. Maryi 100 m.

Na ręce przełożonej Siostry Józefy *Mellin* dla zakładu pod Opatrznością i dom sierót 100 m.

Na ręce p. F. *Dobrowolskiego* na pożywienio biednych dzieci 50 m.

Na ręce panny M. *Karłowskiej* na zakład „dobrego Pasterza“ 50 m.

Na ręce pań, składkujących dla Domu św. Elżbiety 30 m.

Resztę oddałem osobom proszącym prywatnym — 27,50 m. Razem 757,50 m.

Dr. Fr. Chłapowski.

A „fundusz Kościuszki“. „Pomoc Nakowa“, „Dom Przemysłowy“, „Czytelnie ludowe“ i wiele innych nie tyle filantropijnych lub kościelnych ile wybitnie narodowych instytucyi czeka naprózno w sierocem osamotnieniu, z pustemi rękami zmiłowania naszego. O! tak! prąd czasu manifestuje się czasem w drobiazgach. „Resztę niech czuły słuchacz w swej duszy dośpiewa.“

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Nowe pismo kobiece. W Berlinie ukazał się pierwszy zeszyt pisma p. t.: „Die Frauenbewegung“ (Ruch kobiecy), którego celem jest popieranie wszelkich spraw kobiet i pilne śledzenie postępów na tem polu. Redaktorstwo objęły panie Mina Cauer i Lily von Gizycki.

* *

„*Wspomnienia artysty.*“ Illustrowane urywki z pamiętnika. Wydał Leonard Lepszy. Rysunki wykonał Edward Lepszy. Kraków. Księgarnia Spółki wydawniczej polskiej. 1895.

Ładny druk i papier, format przyjemnie wpadający w oko, wytworna oprawa, zgrabne, doskonale odbite illustracye i treść prawie na czasie — bo za tło opowiadania użył autor anegdotyczne dzieje krakowskiej szkoły sztuk pięknych z przed kilkunasty laty — tworzą razem wzięte, całość ponętną i interesującą, zwłaszcza, że pod przejrzystemi imioniskami bohaterów pamiętnika poznać łatwo dobrze ogółowi znanych ludzi realnych i wybitnych, zajmujących wysokie stanowisko w sztuce polskiej lub w życiu społecznem.

* *
*

P. W. Czajewski przystąpił do wydawnictwa p. t. „W a r s z a w a i l u s t r o w a n a“. Będzie to książka w 4-ch tomach o 640 kartach druku ze 160 drzeworytami i rysunkami, wykonanemi przez najlepszych rysowników i drzeworytników. Oprócz opisu miasta w „Warszawie ilustrowanej“ będzie umieszczony artykuł o dziennikarstwie warszawskiem z portretami wybitniejszych dziennikarzy i literatów. Nadto będą tu portrety artystów, budowniczych, inżynierów, przemysłowców i t. d.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. Prezesem koła polskiego w sejmie pruskim obrany został powtórnie radzca S t a n i s ł a w M o t t y. Poseł ten wygłosił na posiedzeniu środowem dłuższą mowę przy pierwszem czytaniu budżetu i korzystając z tej okazyi scharakteryzował trafnie działalność antipolskiej spółki K. H. T. — Prezesem Tow. Przyj. Nauk w Poznaniu obrano ks. biskupa Likowskiego, wiceprezesem prof. dr. Wicherkiewicza — Pruskie seminarya nauczycielskie zawiadomiono, że kandydatom kończącym swe studya w r. 1898 przysługuje prawo do jednorocznej służby wojskowej. — W Brooklyn trwa w dalszym ciągu wielki strejk urzędników tramjawych. — Komisya parlamentarna obradująca nad projektem przewrotowym odrzuciła na piątkowem posiedzeniu wniosek o zmianę § 111 prawa karnego. Według paragrafu tego podlega zachęta do przestępstwa karze więziennej aż do 1 roku lub karze pieniężnej do 600 marek. Rząd zamierzał podwyższyć karę maksymalną na trzy lata więzienia, a karę pieniężną znieść zupełnie. Za wnioskiem rządu głosowali zachowawcy, wolnokonserwatywni, narodowoliberalni i r e p r e z e n t a n t p o l s k i.

Teatr i muzyka. Helena Modrzejewska uda się z Poznania na gościnne występy do Kalisza. Towarzyszyć jej będzie jeden z artystów poznańskich. — Władysław Rabski, redaktor pisma naszego, wykończył dramat czteroaktowy p. t. „Z w y c i ę ż o n y“. Dramat ten osnuty jest na tle stosunków poznańskich. — Wincenty Rapacki (syn) napisał jednoaktówkę p. t. „Plama.“ Utwór ten zaczerpnięty z życia artystycznego Warszawy ukaże się prawdopodobnie w jednem z czasopism poznańskich. — Henryk Boito pisze operę „Neron.“ — W teatrze łódzkim wystawiono „Przeklęty dorobek“ Kosiakiewicza. — Znany publiczności poznańskiej. Rudolf Bernhardt, barytonista, wystąpił w Teatrze Wielkim w Warszawie w roli Miecznika z „Strasznego dworu.“ Krytyka wyraża się pochlebnie o występach utalentowanego śpiewaka. — Operetka Andrana „Konik polny i Mrówka“ święci w Warszawie prawdziwe tryumfy. — Panna Marcello wystąpiła po raz pierwszy na warszawskiej scenie w roli Amelii (Mazepa) Krytyka wyraża się nader ujemnie o grze artystki. — We Lwowie odbyło się jubileuszowe przedstawienie ku uczczeniu pamięci Wojciecha Bogusławskiego. Spektakl zapoczątkowano pięknym prologiem Jana Kasprowicza, wygłoszonym przez p. Romana Żelazowskiego. Następnie odegrano „Krakowiaków i Górali“ Teatr świecił pustkami.

Zjazdy i kongresy. Zjazd historyków niemieckich odbędzie się 18, 19 i 26 kwietnia r. b. w Frankfurcie n. M.

— *Legendy o zapamiętałych tancownikach.* Ostatni numer „Wisły“ zawiera wiele ciekawych przyczynków do etnologii ludowej, a między innymi legendy zapustne.

„Był owczarek w Mogilnie — opowiada baśń pierwsza — który miał flet zaczarowany. Kto głos jego usłyszał, musiał tańcować. Ksiądz nie wierzył pogłosce. poszedł do owczarka i kazał sobie zagrać. Chłopiec zagrał, a ksiądz musiał się na śmierć zatańcować.“

„Kilka dziewcząt w Kiekszu — mówi baśń druga — prało w niedzielę. Nie były w kościele, tylko poszły na tańce. Za karę musiały ciągle tańczyć (do końca życia).“

„W powiecie żnińskim — twierdzi trzecia — przy dworze z Popowa do Gącza, jest staw bagnisty. Stała tam niegdyś karczma, w której było zawsze dużo pijanych. Raz wszedł ubogi, prosząc o wsparcie, ale wyrzucono go za drzwi. Wtedy powiedział: „Naswawoliliście się już dosyć, teraz będziecie za karę tańczyli, dopóki sobie nóg nie zedrzecie“. Ubogim był sam Bóg. Swawolnicy tańczyli tak, że aż krew z nóg im popłynęła, potem karczma zapadła się i staw pokrył jej miejsce.“

Zwłaszcza ta ostatnia legenda jest bardzo pomysłowa i wymowna. Bo czyż to nie oryginalna kara kazać bezmyślnym grzesznikom zatańczyć się na śmierć! Krew im z nóg płynie, ciało ściera się, chcieliby odpocząć — nie! — tańczcie robaczki dopóki ducha nie wyzionie. Taką wszakże przestrogą nie możnaby dziś oddziałać na zapamiętałych w żadnej karczmie, gdyż niktby w nią nie uwierzył. A jednak niesłusznie. W baśniach bowiem tego rodzaju zmyślonym jest tylko fakt, zresztą wszystko prawdziwe. Tylko fakt — bagatela! — zawoła ktoś z uśmiechem. Za pozwoleniem: czy Ikar istniał i miał woskowe skrzydła. które mu w słońcu stopniały? Nie. Czy Syzyf istniał i wtaczał pod górę kamień, który mu się ciągle osuwał na dół? Także nie. Czy Prometeusz istniał i był przykuty do skały przez Zeusa? Nie. A przecież mity te powtarzamy ustawicznie, wierzymy w ich mądrość, pomimo, że nieprawdą jest w nich tylko — sam fakt. Czemuż więc nie mielibyśmy cenić legendy o pijakach karczmy żnińskiej, którzy za swawolę z rozkazu Boga zatańczyli się na śmierć? Kto podziela te uwagi, ten przyzna. że ntetylko zabobon tkwi w następującej (czwartej) opowieści „Wisły“

„Pod Liszkowem był przed laty zamek nad strumykiem. Pan zamku był nielitościwy dla poddanych i pędził dni na swawoli i rozpuście. Kara boża dosięgła go wszakże i zamek zapadł się w ziemię przy piorunach i błyskawicach. Rzeka rozlała się w jezioro, a park rozrósł się w lasek prześliczny. O godzinie 9 wieczorem dawni mieszkańcy zamku wychodzą i tańczą do północy. Każdego też przechodnia zmuszają do tańców.“

Dante tyle wymyślił najrozmaitszych kar dla pokutników swego poematu — a ta bardzo pomysłowa nie przyszła mu do głowy. Z pewnością, gdyby o niej usłyszał od naszego ludu. byłby ją zużytkował dla odpowiedniej grupy — tych, co nawet Boga znieważą, żeby im nie przeszkadzał tańczyć.

P. Pr.

Z m a r l i:

Lord Randolph Churchill, słynny parlamentaryusz angielski, zm. przed kilku dniami.

Raul Toché, popularny komedyopisarz i dowcipny feljetonista francuzki, zastrzelił się w parku w Chantilly.

BIBLIOGRAFJA.

Anatol Krzyżanowski. Za cudze winy. Lwów 1895. Cena 5 mr.

Henryk Olechowicz Stecki. Wspomnienia mojej młodości. Lwów 1895. Cena 2,40 mr.

Odpowiedzi Redakcyi.

Bies z Poznania. Życzeniu pańskiemu stanie się zadość. A może raczyłby Pan samodzielnie napisać w kwestyi wiadomej artykuł. Prosimy pofatygować się do redakcyi.

E. N. Cenimy patryotyzm i zapał młodzieży, ale odezwy nadesłanej ze względu na jej formę i bezimienność zamieścić nie możemy. Przekonaliśmy się, że anonimowe proklamacye chybiają celu i przeciwnikom broń skuteczną podają. „Bezimienność“ tę stronnictwo Stańczykowskie wytacza stale jako zarzut poważny.

S. K. Wyczerpujące uwzględnienie życzenia Pańskiego byłoby dla nas nadto uciążliwem. Racz Szan. Pan zgłosić się do p Estreichera w Krakowie.

Składki.

Na fundusz imienia Tadeusza Kościuszki złożyli:

P. Maliński z Konar}	13,00 m.
I. Kollat z Miejskiej Górki, uradowany szczęśliwym reznltatem swego pośrednictwa	3,00 „
Zakład przegrany o wyrazy „Puch marny“	1,00 „
Razem	17,00 m.

O dalsze składki prosimy gorąco, przypominając również usilnie czytelnikom naszym **fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim.**

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Józef Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.